

*Wł. W. Chłostkowski*

# PRZEGLĄD LWOWSKI.

Pismo dwutygodniowe  
poświęcone sprawom  
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

1. Października 1871.

**Poszyt dziełwłętnasty.**

*(Fide ac veritate.)*

**Spis rzeczy:**

- |   |  |
|---|--|
| <ol style="list-style-type: none"><li>1. Listy O. Hieronima Kaysiewicza z drugiej podróży zaatlantyckiej. Do braci i przyjaciół — list pierwszy (Dokończenie.)</li><li>2. Lamartine. Studium literackie (ciąg dalszy) p. Adama Krechowieckiego.</li><li>3. Ks. Jan Leopolda — przez ks. kanonika Polkowskiego.</li><li>4. Przegląd literatury historycznej.—Dr. Izidor Szaraniewicz i jego dzieło „Kritische Blicke in die Geschichte der Karpathenvölker im Alterthum und im Mittelalter.</li><li>5. Czy Jezuci zgubili Polskę? (C. d.)</li><li>6. Przymusowe szkoły wobec liberałów. W odpowiedzi „Dziennikowi Poznańskiemu“ na</li></ol> | <ol style="list-style-type: none"><li>umieszczony w nim artykuł z powodu mowy posła Leona Chrzanowskiego mianej na sejmie lwowskim.</li><li>7. Korespondencya „Przeglądu“ — z Krakowa przez X. Z. G. w odpowiedzi „Dziennikowi Polskiemu.“</li><li>8. Kronika:<ol style="list-style-type: none"><li>I. Zjazd Döllingeryanów w Monachium i „Gazeta Narodowa.“</li><li>II. Liga pokoju—Pan Kraszewski z Wenecyi i Ustawy towarzystwa rewolucyjnego w Alferi.</li><li>III. Góra Cenis i środki cywilizacyjne.</li><li>IV. Z Rzymu i ze Lwowa.</li></ol></li></ol> |
|---|--|

L W Ó W.  
NAKŁADEM REDAKCYI.  
Z DRUKARNI KAROLA BUDWEISERA.  
1871.

Rozpoczętą w zeszytcie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

## CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

**I.** Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu. — Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

**II.** Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacja, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

**III.** Przyczyny upadku Polski. Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

**IV.** Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia klótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

**V.** Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

**VI.** Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

---

O. HIERONIMA KAYSIEWICZA  
LISTY  
Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKIEJ  
DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

L i s t I.

New - York, 7 czerwca 1871 r.

(Dokończenie).

Gdy tak stronnictwo umiarkowane obraduje w teatrze wersalskim, Komuna dokazuje w Paryżu po kościołach, obdartych naprzód ze wszelkich kosztowności (na mocy prawa nabitego karabinu) a potem sprofanowanych. Wypędzają z nich modlących się, zdzierają białe wstęgi dzieciom wracającym od pierwszej komunii, tu ubierają posąg Matki Boskiej na kantynierkę, tam jej lulkę do ust wtykają, hostye poświęcone rozrzucają po podłodze, kładą do kieszeni, depcą... Zakładają w nich kluby męskie, a szczególnieżeńskie, jakoby zemsta szatana przeciw kobietom zapelniającym głównie kościoły paryzkie, mianowicie też w tym miesiącu maju, osobnej czci Najś. Panny poświęconym. Po konfesyonałach zasiadają *ouvrierzy* z lulkami *à brule-gueule* w ustach, a coś nakształt niewiasty włazi na ambonę i bluźni na potęgę! Najwymowniejszą z takich oratorek była pani Dymitrieff, nihilistka moskiewska, to też słuchacze dowiadawali się pilno gdzie mieszka. Zdarzało się, że gdy jedna za długo mówiła z ambony, druga wskakiwała na ołtarz i prawiała swoje. Zaręczano mi, że bezwstydnica naga wlaźła na ołtarz, wołając: *adorez-moi*. Ale, że osoba, która mi to doniosła, nie widziała faktu na własne oczy, nie twierdzę ostatecznie, choć i to było potrzebne do parodyi na zimno pierwszej rewolucyi a przy takim zbydlęceniu i szataństwie wszystko już możebne. Klubów samych nie dosyć, więc i teatru otwarte, marynetki mianowicie się podobają rządzącej publiczności. W tem wołają: *un convoi de*

*blésés!* Wybiega publiczność, popatrzy na krew ciekącą z wozów jak w rzeźni, na marmeladę z kości i mięsa i wraca do maryonek. Miłe też zbiegowisko na Montmartre, patrzeć jak pękające granaty wyrzucają w powietrze siekaninę ciał ludzkich, „zdaleka to nie robi przykrego wrażenia“ odezwała się jedna dziewczka. Obrońcy zaś komuny wszyscy upojeni winem z infuzyą tytoniu i dla tego wszyscy ranni umierają.

Francuzi nie mogąc strawić, że w wieku i stolicy cywilizacyi takie potwory się wyrodziły, folgują miłości własnej, zwalając wszystko na cudzoziemców, tymczasem bardzo ich tam mało. Irlandczyka ani jednego, Włochów kilku albo kilkunastu, Polaków do pięćdziesięciu. Na 1000 jeńców przyprowadzonych dotychczas do Wersalu, ledwo 20 cudzoziemców, głównie naszych. Nieszczęśni, paradowali w czamarkach i rogatywkach; oniby widać i w piekle radzi hańbą się swoją popisywać! Nie pamiętali, okrom innych powodów, w jakim położeniu postawili resztę rodaków we Francyi, mianowicie starców naszych z 1831 roku. Co do mnie, raz pierwszy wstydzilem się we Francyi nazwać się polakiem, i dla tego tak mi było przykro pokazywać paszport. Przyganiali mi w roku 1849 umiarkowani i rozsądni nawet, zem ostro zgromił wygnańców naszych mieszkających się do burd owoczesnych w Europie. Przyganiali mi w roku 1863, zem ogłosił me chani ków ostatniego powstania za mazzinistów. Tymczasem Dombrowscy, Wróblewscy, znakomite figury powstańcze, służą komunistom paryzkim, którzy się bić nie chcieli przeciwko Niemcom, których Mazzini sam potępił, twierdząc, że społeczeństwo, wyrzekające się Boga i ojczyzny ostać się nie może. Gdyby Dombrowski z ran nie był umarł, możeby go jeszcze stawiano za przyszłego zbawcę Polski (jak to już podobno jeden dziennik galicyjski zaczął) na miejsce Mierosławskiego spoczywającego na laurach.

Dnia 21 maja przybył do Wersalu ksiądz Postawka, który podczas wojny pruskiej był już z ambulansem, a po Sedanie do Paryża wrócił i tam podczas rządów komuny, z wielkiem nieraz niebezpieczeństwem życia, ostatni przy kościele swoim dotrzymał; wreszcie zmuszony z kościoła ustąpić, zdał go za kwitem komunie. Opuścił miasto za paszportem austryackim, nie wiedząc o tem, że wojska już weszły do Paryża. Wrócił więc. Ksiądz Postawka kończył swe nauki w Rzymie, ducha za alpejskiego zachwycił, do księży stowarzyszonych nie należał, Zmartwychwstańców się nie bał i kiedy przyszła ciężka godzina, pocziwie i po kapłańsku się znalazł.

Przez cały czas mego pobytu dziesięciodniowego w Wersalu, działobicie nieustające (z małemi przerwami) w dzień i w nocy, było muzyką stałą przy tej okropnej biesiadzie. W wigilią Wniebowstąpienia i w wigilią wejścia wojsk do Paryża (20—21) kanonada była straszną, nie było słycać pojedynczych strzałów, ale salwy nieustające baterij działowych najcięższego kalibru. P. Kosłowski zaręczał, że i pod Sebastopolem takiej muzyki nie słyszał. Dwudziestego pierwszego zrana, w towarzystwie tylko co wspomnianego rodaka i ks. kanonika Szrajtera, udałem się przez Sévres na taras meudoński, oglądać zamek spalony i sławną redutę pruską o 60 działach. Posługiwali się nią świeżo Francuzi; ślady podwójnego zniszczenia wszędzie widoczne, ludność teraz znowu do domów wracała. Widziałem pierwsze pożary paryzkie; ale gdy Montmartre został zdobyty, opuściłem Wersal z dobrą myślą, że się nie sprawdzą proroctwa grożące Paryżowi zagładą. Niestety! nie wszystko jeszcze skończone.

Dnia 24 maja udałem się przez *Le Mans* i *Sablé* odwiedzić uczonego Opa O. Guéranger, wkrzesiciela Benedyktynów kongregacji św. Maura we Francji. W roku 1835 odbyliśmy tę pielgrzymkę pieszo z księdzem Semeneńką, i miesiąc cały w towarzystwie świętą pamięci Montalembert'a spędzili. Było wtenczas wszystkiego pięciu zakonników. Wpadłem tu był przelotnie w roku 1849 i znalazłem tylko chór kościelny przybudowany. Obecnie jest 60 zakonników i osobny klasztor i kościół gotycki. Zakonnice w pobliżu; oprócz dwóch innych klasztorów w Ligujé (gdzie św. Marcin przebywał) i w Marsylii. Ze Solêmes wyszedł uczony kardynał Pitra. Poznałem tu też młodego i uczonego O. Guépin, który przygotował do druku najobszerniejszy, bo dwutomowy i najdokładniejszy zapewne żywot św. Jozafata, dzięki wskazówkom i źródłom polskim, jakich mu dostarczył nasz ksiądz Kalinka. Opowiadał mi, że zupełnie inaczej od francuzkich, troszczyli się o swych żołnierzy oficerowie pruscy. To był ostatni punkt, do którego Prusacy się posunęli; dodał niewesołą wiadomość, że i w tych okolicach, stosunkowo bardziej wierzących, liczba komunij wielkanocnych tego roku o wiele się zmniejszyła, wmawiano bowiem ludowi, że to księża i szlachta sprowadzili Prusaków.

Dnia 25 w południe udałem się do Brest. W Vuitré dotknąłem granic Bretanii. Grunt tu ubogi, bo tuż pod piaskiem granit. Lud wiejski żywi się rodzajem mamałygi z prosa z mlekiem, ale za to ma coś granitowego w charakterze. Musiałem nocować w Rennes, bo pociąg dalej nie szedł, widziałem żuawów ex-papiezkich tu

się formujących. Wszystko tu jeszcze prościej, skromniej, niż w reszcie Francji, *atfättrisch*, jakby Niemiec powiedział, i życie też znacznie tańsze. Mszę św. zmówiłem nazajutrz w katedrze nowożytnego zupełnie stylu, jak ogólnie tutaj gmachy publiczne.

W Brest dnia 27 przy śniadaniu, pan *Le Roy de Keranion, capitaine au long cours*, Bretończyk, ofiarował mi druki swoje o ważności portu i jego wielkiej przyszłości. Wykazuje, co prawda, że to punkt najbliższy Europy od Nowego Yorku—*finis terrae* przez Rzymian nazwany, że węgiel kraju Galles bliższy jest Brestu niż wielu portów angielskich, i że tu przeto okręty chętnie, bo korzystnie zaopatrywać się weń będą, że sam port wojenny ogromny, głęboki, bezpieczny, służyć może dla handlu, gdy tymczasem Havre, prowadzący jedną trzecią handlu francuzkiego, musi czekać na przypływ morza, aby okręty zawinąć mogły, a Bordeaux i Nantes wywożą już tylko produkta francuzkie. Ale okrom portu wojennego, Brest otrzymał koncesyą na założenie portu handlowego, tuż przy ujściu małej i głębokiej rzeczki, *Port-Napoleon*, a dziś *Port-Marie* nazwanego. Powietrze tam zdrowe, grunt za bezcen, granit pod ręką; więc widzi już ogromne miasto z kolosalnemi dokami, obok których londyńskie i liwepoolskie znikną itd. Naturalnie, że ci panowie przypuszczają pokój stały, bezpieczeństwo, ludność i bogactwo rosnące, tymczasem przychodzą niespodzianki, jak wojna pruska, komuna, itp. psujące szyki. Pan ten przeprowadził założenie linii statków transatlantycznych, wysyłających co tydzień jeden okręt; spodziewał się, że z czasem co dzień dwa ich odchodzić będzie, tymczasem już tylko co czternaście dni jeden odpływa, a zapowiadają nawet, że kompania zbankrutuje. W czasie wojny statki te woziły wybrażowane strzelby amerykańskie i działa o lawetach sosnowych, słono przedawane, a teraz nie mają co robić. Na *Ville de Paris* znajdują wszystkiego 70 podróźnych. Kilkanaście osób na pierwszych porządnych parę rodzin, które się nawet na pomoście nie pokazywały—generał Trobriand, Francuz w służbie amerykańskiej, wracający po klęsce ojczyzny do Utah gdzie komenderował; jakiś doktor amerykański o wydatnych rysach izraelskich, stolarz francuzki wracający do New-Yorku, para *commis-voyageurs*, i para *dam du demi-monde*. Na naszym drugim miejscu tego towaru nie było; kupcy podróźni i wracający, lub po raz pierwszy jadący za ocean, mianowicie do Kalifornii, i spekulanci, ogólnie nie świetny, ale przyzwoity *peuple*, większość podróźnych zajmowała trzecie miejsce. U nas odznaczał się dwudziestoletni *rentier* z Washingtonu, który pracował nominalnie

przynajmniej, przy konsulu amerykańskim w Marsylii, odwołany i zmuszony do powrotu odcięciem żywności, ale obiecujący pomścić się za kilka miesięcy, gdy dojdzie do pełnoletności; jadł, pił, spał, i gawędził potężnie; choć małoletni, już dobrze podtył. Był i Alzateczyk, wściekły zarazem na Prusaków i na Francuzów. Był i perukarz, *artiste en cheveux*, który dotychczas sprzedawał *articles de Paris* w Hawanie, a obecnie po upadku ukochanej komuny wynosi się znowu z dwiema córkami do Galveston w Texas. Pięknie trafił: dowiaduję się tutaj, że podwójny huragan miasto okrutnie zniszczył. Panny mi powiadały, że odbyły pierwszą komunię w parafii *de St. Augustin*, że były w kościele, gdy komuna wpadła zabrać kościół, że ksiądz przy ołtarzu odważnie się znalazł itd. Ciekawy byłem, co też te panny czytają (bo książki swoje zostawiały na stole do użytku publicznego) oto *La Vie parisienne illustrée*, pełną ślizkich, jaskrawych, a nawet plugawych artykułów i drzeworytów. Takie rzeczy nie rażą już Paryżanek! a i reszta Francji i Europy takim omłotem się karmiła.

Mieliśmy odpłynąć 27go maja o 3ej po południu, tymczasem czekaliśmy napróżno do 11ej zrana nazajutrz na pocztę. Niewesoło było opuszczać Europę w takiej niepewności, wiedzieliśmy już bowiem o spaleniu ważniejszych gmachów paryzkich przez komunistów i o miotaniu bomb petreolowych z Belleville. Podróż mieliśmy mniej przyjemną, niż w takiej porze roku spodziewać się było można. Burzy właściwie nie było, ale wiatr mieliśmy prawie stale z boku, długi nasz i wązki szrubowiec potężnie się kołysał i cierpiących na morzu dosyć utrapił. Wiatr był zimny, a mianowicie gdyśmy zrobili zagięcie ku *Terre-Neuve*, podróżni zażądali opalania salonów. Spotkaliśmy wtenczas dwie pływające góry lodu, było też trochę mgły i gwizdania parą, ale to wszystko w miniaturze w porównaniu z tem, czegom doznał w pierwszej przeprawie do Kanady. Małośmy statków spotkali, ledwo gdzie ryba albo delfin się pokazał, ptactwa morskiego na Oceanie nie spotkać, więc też podróżni mało wrażeń upolowali; domino, szachy, karty, jedzenie, gawędy i sen musiały czas zapełniać. Jakkolwiek kapitan nie był zadowolony z ruchu maszyny, jednak po upływie 9ciu dni stanęliśmy wobec wspaniałego portu Nowo-Yorskiego, któremu się lepiej teraz niż po raz pierwszy przypatrzeć mogłem. Urzędnicy celni i sanitarni przynieśli wiadomości i dzienniki na statek, że powstanie w Paryżu stłumione i pożary powstrzymane. Więc na teraz dzięki Bogu skończone, ale czy na długo? Czy duch Paryżan nie jest zbyt zepsuty, aby mógł

być uleczon? Ze smutkiem widzę pośpiech władzy, by dawny stan rzeczy i życia paryzkiego przywrócić i zatrzeć co rychlej ślady wandalizmu komunistów. Przeciwnie, niechby te ruiny sterczały na świadectwo, do czego prowadzi oświata bez Boga! Już dziś zaczynają dzienniki wymawiać komunę; co będzie, gdy materialne ślady ich piekielnego herostratyzmu zostaną zatarte? *Ipsi Viderint....*

O godzinie 6tej wieczorem byłem już w gościnnym klasztorze OO. Redemptorystów, znalazłem tych samych przełożonych i braciszków. Kochani OO. zaprosili mnie do odśpiewania Mszy świętej i odbycia procesyi w dzień Bożego ciała, w kościele napełnionym jak ul. Rad byłem oddać tę małą usługę Ojcom tym, zmęczonym w konfesyonale, rad byłem po utraceniu 9ciu dni, w pobliżu Pana Jezusa dłużej pobawić; nie obeszło się bez potężnego zmęczenia, bo w Nowym Yorku panowały upały tropikalne (jednego dnia 200 koni omnibusowych padło). Można kochać lub nie kochać Niemców, ale trzeba przyznać, że ci, co do kościoła przychodzą, poważnie i pobożnie w nim się znajdują. Patrząc w Hostyą przenajświętszą, widziałem jednak w przechodzie głowy pobożnie ku niej zwrócone, jak słoneczniki ku słońcu i szmer westchnień pobożnych wzlatających wraz z kadzidłem ku Panu, i ofiarowałem Mu wszystkich pobożne uczucia, i prosiłem, by o nich nie zapomniął, choćby który się w ciągu życia jeszcze zapomniął i by w godzinę śmierci był im miłościw wszystkim. Nazajutrz byłem w Brooklyn oddać Wizytkom tamtejszym listy od naszych Wizytek wileńsko-wersalskich. Duch Boży ten sam wszędzie i we wszystkich, więc i Wizytki amerykańskie kubek w kubek podobne do naszych europejskich, widać że to córki świętego Ojca i świętej Matki.

Jeden z OO. Redemptorystów, Ojciec Urban, sławianin urodzony przy źródłach Odry, ślicznie wyćwicył w śpiewie dzieci szkół obu, żeńskiej i męskiej Słyszałem codziennie melodyą „Przed tak wielkim Sakramentem“ i jedną z kolęd naszych. Po raz drugi mówił mi o potrzebie otworzenia kaplicy dla Polaków i Czechów bardzo tu zapuszczonych, ale nie łatwo o środki materialne, a o kapłanów jeszcze trudniej. Zobaczymy co Bóg da zrobić.

Poświęciłem dwa dni państwu Zborowskim zamieszkującym śliczny pałacyk w Morrisonia, nie wiem jak powiedzieć, pod Nowym-Yorkiem, czy w Nowym-Yorku. Niby to dwór wiejski jeszcze, ale miasto tak gwałtownie się zbliża, że na łąkach pana Zborowskiego municypalność poznały już kamieniami przyszłe ulice. Gdyśmy weszli na śliczny wzgórek panujący nad okolicą, właściciel z pewnym



gorzkim żalem (ile protestant) powiedział: „Mości księże, tu zapewne stanie z czasem katedra katolicka, a mój dom będzie oficyną pałacu kardynała arcybiskupa“. Czują Amerykanie, że katolicyzm ich zalewa, wszakże dopóki będą osobne kościoły niemieckokatolickie i irlandzko-katolickie, dopóki te dwie ludności nie zaczną się łączyć węzłami rodzinnymi między sobą i z dawno osiadłymi mieszkańcami, kościół katolicki nie zapanuje głębszych korzeni w tym kraju, będzie zawsze tylko kolonią europejską ze zewnątrz podtrzymywaną.

Drożyzna tu taka, że z małej swej własności (na nasze rozmiary) pan Zborowski płaci 5000 dolarów podatku, a robotników do 3 dolarów dziennie. Municypalność nakłada ogromne podatki, a jednak miasto brudne; okrzykane ulice rzymskie świecą czystością w porównaniu! Rada municypalna bowiem składa się z Irlandczyków i synów Irlandczyków tu zrodzonych, którzy pamiętają o sobie. I tu coraz więcej ludzi chcących grubo zarabiać, mało pracując. Rozpusta, pijaństwo, zła wiara rosna coraz bardziej, przeto i tu są gotowe żywioły do stworzenia Komuny nakszałt paryskiej, jak mi mój zacny gospodarz powiadał. Chciał mnie dłużej u siebie zatrzymać, ale mi pilno do moich. Dla tego też podziękowałem zacnym OO. Redemptorystom, którzy gotują się odbyć uroczyste trzydniowe nabożeństwo 16, 17 i 18 tego miesiąca z powodu Jubileuszu papieżkiego i ogłoszenia ich świętego założyciela, Alfonsa de Liguori, doktorem Kościoła. Milej mi będzie obchodzić, choć mniej świetnie, jubileusz papieżki w naszych parafiach, ile że w moc otrzymanego przywileju mogę im dać błogosławieństwo w imieniu Ojca św.

Dnia 14 wieczorem stanąłem u zacnego naszego biskupa w Hamilton, już w Kanadzie, który wymógł, abym ze trzy dni u niego zabawił, i zaraz kazał zapowiedzieć w kościele, aby Polacy, Czesi, Niemcy i Włosi korzystali ze sposobności i spowiadali się. Zaczynają już zgłaszać się penitenci, nawet ze spowiedziami z całego życia.

P. S. 20go Czerwca. List ten zaczęty 7go tego miesiąca, dziś dopiero kończę i wysyłam; nierychło nowy napiszę, bo miesiąc cały zajmą mi potrójne rekolekcyje tu i w Chicago. Dodaję zatem, że 17go wieczorem stanąłem w Berlinie kanadyjskim i stanąłem w niewielkim ale schludnym i bardzo praktycznie urządzonym budynku naszego małego kolegium. Nazajutrz odśpiewałem Mszę św. i dałem benedykcyą papieżką. Musiałem wysłuchać trzech nauk z ogłoszeniem nabożeństwa za Ojca św., w języku polskim (dla Po-

laków i Czechów) i angielskim przez księdza Jana Wołłowskiego, który w niespełna lat trzy wybornie nauczył się po angielsku i w języku niemieckim przez księdza Ludwika Funckena. Ten odwiedził mnie dnia 19go do św. Agaty do brata swego, przełożonego missyi naszej. Znalazłem tu nową piękną kamienicę wystawioną ze składek dla sierót naszych parafij.

Katolicki dziennik wychodzący w Baltimore opowiada pod dniem 12tym tego miesiąca poświęcenie przez J. M. księdza biskupa Foley nowego polskiego rzymsko-katolickiego kościoła w Chicago, pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Kościół długi jest stóp 95, 40 szeroki, kosztował 16000 dolarów. Obok jest piękny i obszerny dom parafialny; proboszczem jest obecnie ks. Adolf Bakanowski ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Parafia składa się ze 600 rodzin, których liczba niewątpliwie się rychło powiększy. Bractwo polskie zaprosiło inne bractwa katolickie w mieście do wzięcia udziału w tej uroczystości, co też najchętniej zostało przyjętem od wszystkich. *Deo gratias.*

## LAMARTINE.

### Studyum literackie.

#### II.

(Ciąg dalszy).

Spoleczność ówczesna, która tyle przeboleła, która marzenia swoje i uludy krwią zapłaciła własną, wpośród ruin, pożogi i mordów życie nawykła, zapragnęła spoczynku, wytchnienia, zapragnęła szczytniejszych nadziei, wyższego polotu, i zaspokojenie tych pragnień znalazła w *Rozmyślaniach*.

Lamartine obdarzony pierwszorzędnym talentem, zaledwie dojrzał umysłowo i moralnie i rzucił okiem dokoła siebie, ujrzał krwawy ślad rewolucyi na ojczystej ziemi. To pierwsze wrażenie, które boleśnie jego młodzieńczą zraniło duszę. Był to czas reakcyi tak politycznej jak religijnej i literackiej, a na czele tego ruchu, kierownikiem jego i przedstawicielem był ów mąż niezrównanego talentu i niezrównanej zasługi — Chateaubriand. Jego dzieła były rozkoszą i wielką dla Lamartine'a nauką; prowadzić dalej dzieło zaczęte przez Chateaubrianda, dosięgnąć do tej sławy i rozgłosu stało się jedynem marzeniem

młodego poety. A patrząc na klęski ziemi ojczystej, ulegając wpływowi tego, którego za wzór sobie obrał, a częścią też i naturalnemu popędowi młodzieńczej swej duszy, wznosił wzrok ku niebu i z rozdartej boleścią piersi wyjęknął tę rzewną, tęskną skargę, którą Rozmyślaniami poetycznemi nazwał.

Poezyi rozpaczliwej, skarżącej się i płaczącej mamy bardzo wiele, ale między skargą i skargą jest wielka różnica. Jest skarga, która przeraża i boli, budzi wstępl i odrazę, bo pełna zwątpienia i rozpacz; jest skarga, która nuży a często i śmieszy, jak w przesadnych i nienaturalnych poezyach, wszystkich prawie z bardzo nielicznym wyjątkiem naśladowców Byrona. Jest wreszcie skarga, która rozrzewnia, przenika do głębi duszy, ale zarazem pociesza i krzepi, bo pełna nadziei, bo chociaż płacze, nie wątpli, jest szczerą i naturalną, jest modlitwą, nie bluźnierstwem. Taką ufną i modlącą się skargą są Rozmyślania poetyczne Lamartine'a. „Niema nic trudniejszego, powiada Donoso Cortés, jak utrzymanie we właściwych rozmiarach utworów wyrażających tęsknotę duszy, albo radość i wesele; znam tylko dwa skończone wzory w tym rodzaju, to Lamartine i Anakreon.“

Pierwsze dzieło Lamartine'a obudziło więc wielki zapal i wielkie nadzieje; słusznie też spodziewać się było można, że poeta, który tak zaczyna, isć będzie wytrwale i wiernie raz obraną drogą. Obumarła, bez czucia poezya de Boileau odebrała cios śmiertelny. W całej Francyi rozległ się okrzyk uwielbienia, gdy się ukazały przedziwnej piękności wiersze do Byrona.

Człowiek ofiarą, zło twoim widokiem,  
Jak szatan, przepaść zmierzyłeś twem okiem,  
Duch twój od światła i Boga daleki,  
Wszelką nadzieję pożegnał na wieki! <sup>1)</sup>

Byron nie pojął i nie usłuchał wezwania poety, który mu przypominał, że geniusze Bóg na to na ziemię posyła, aby prawdę głosili. *C'est pour la vérité que Dieu fit le génie.* Wezwanie to jednak wiecznem będzie potępieniem dla tego, który je wygłosił, a który także nie zawsze na korzyść prawdy swego talentu używał.

Drugie wszakże dzieło Lamartine'a *Les Harmonies poétiques* ma jeszcze wybitną religijną cechę, tchnie jeszcze tym zapalem wierzącej i ufnej duszy, a nawet co do natchnienia wyższe jest od Rozmyślań. W utworze tym z jednej strony znać wielki postęp, widać więcej doświadczenia, więcej pracy, poeta jest tu rozmaitszy w obrazach, potężniejszy natchnieniem, silniejszy w wyrażeniu swych myśli. Ale z drugiej strony znać pewne lekceważenie formy, zuchwałość taką, jakiejby się nie należało spodziewać po poecie, którego bądź co bądź

<sup>1)</sup> *Le mal est ton spectacle, et l'homme est ta victime  
Ton oeil, comme Satan, a mesuré l'abîme,  
Et ton âme y plongeant loin du jour et de Dieu  
A dit à l'espérance un éternel adieu!...*

poetycka sława całkiem jeszcze ustaloną nie była. Własne natchnienie stało się tu wyrocznią dla poety; zdało mu się, że już może, że powinien nawet, ulegając jemu, nie zważać na wymagania sztuki. To była pierwsza oznaka tego zarozumienia i pychy, która go zgubiła jako poetę i jako człowieka politycznego.

Pomimo wszakże tej ujemnej strony, utwór ten Lamartine'a ustalił jego poetycką sławę i zjednał mu w liczbie pierwszorzędnych poetów francuzkich nieśmiertelne imię. Na takim stanowisku potrzeba wielkiej siły moralnej, aby się nie dać uwieść zarozumieniu i żądzy zyskania coraz większej i większej sławy i popularności. Lamartine zapomniał też wnet o tem, że posłannictwem jego, pierwszym jego zrazu dążeniem i chęcią było kierowanie opinią publiczną i prostowanie jej jeźli w czem zbaczała. Jak wielu innych dla dogodzenia pysze, zszedł on ze szczytnego stanowiska, które sobie zdobył i oddał się dobrowolnie w niewolę temu nieublaganemu despotcie, którego zowią duchem czasu. Sprzeciwić się jemu, pójść wbrew ogólnemu prądowi, to znaczyło tyle co utracić popularność, na co zarozumiałość zezwolić nie mogła, na co już w palonem ambicyą sercu Lamartine'a nie było siły. Wówczas gdy chodziło o zyskanie sobie imienia, rozgłosu, można i trzeba było odezwać się odmiennym głosem od innych, ale gdy sława zyskaną została, chodziło przedewszystkiem o jej zachowanie, a więc należało pójść tą drogą, po której szła większość, szedł ogół. Tak pewnie nie uczyni człowiek głębokich i stałych przekonań, ale Lamartine nie był nigdy katolikiem z przekonania; dla niego katolicyzm był poezją nie zaś religią; on się zachwycił jego pięknnością, podziwiał jego wspaniałość, ale głębokiej, silnej wiary nigdy nie posiadał. Do zbytku wrażliwy, ulegał łatwo wpływowi, a przekonania jego zmieniały się stosownie do wrażeń mniej lub więcej silnych, których doznawał. Zarozumiałość kazała mu już zboczyć nieco z obranej wprzód drogi, potrzeba jeszcze było jednego silnego wrażenia, aby zatrzeć dawne uczucia i wywołać nowe; a wrażenia tego doznał Lamartine w czasie swej podróży na Wschód. Tam nastąpiło zupełne przeobrażenie poety; w pierwszym swym utworze w Rozmyślaniach poetycznych był on poetą religijnym, wierzącym szczerze, serdecznie; w Harmoniach niemniej religijny, zdradza on już wszakże chęć zrzucenia z siebie tego jarzma, które już za zbyt ciężkie uważa, pragnie być swobodnym zupełnie, niepodległym całkowicie. Podróż na Wschód dokonała przemiany a tak stanowczej, że Lamartine nie wahał się już powiedzieć: „poezya jest źródłem religii, poeta we własnem sercu czerpie swą religię, poeta — to Bóg“. Lecz zechciejmy tej drugiej epoce poetycznej kariery Lamartine'a bliżej się przypatrzeć.

### III.

Jeżeli przez filozofię rozumie się naukę, która układa w system, przedstawia według pewnej metody zasadnicze prawdy, które nam objawione zostały, naukę, która usiłuje złożyć te prawdy w jedną świętną i harmonijną całość, oznaczyć stosunki w jakich one względem

siebie zostają, i wyprowadzić z nich inne drugorzędne prawdy, któreby mogły być nauką dla społeczności i człowieka, cześć i poważanie filozofii takiej, bo ona uszlachetnia i podnosi ród ludzki. Tak pojmowali filozofią doktorowie katoliccy, tak ją rozumiał św. Tomasz i św. Augustyn. Ale jeżeli filozofia usiłuje poznać istotę Boga bez bożej pomocy, poznać człowieka bez pomocy Tego, który go stworzył, urządzić społeczność bez pomocy Tego, który nią włada i rządzi; jeżeli słowem przez filozofię rozumie się nauka, która rozum ludzki za jedyne przewodnika obrała i tym słabym promykiem chce rozświetlić niezgłębione wiary tajemnice, hańba i potępienie filozofii takiej, bo ona nie mogąc nic o własnych uczynić siłach, staje się absolutną prawdą objawionych negacją.

Wrażliwy umysł Lamartina uderzony został obfitością rozmaitych filozofii i religii: żadna z nich nie zaspakajała go, ale każda przyczyniła się do stłumienia stałej iskierki wiary, która tłała niegdyś w jego młodzieńczej duszy. Nie znajdując zaspokojenia w żadnym z licznych systematów filozoficznych, Lamartine powiedział sobie: „poeta czerpie religią we własnym swym łonie“ i zapragnął stworzyć sam sobie nową religię zaspakajającą zupełnie, filozofię całkiem zrozumiałą, obejmującą i tłumaczącą Boga, człowieka i społeczność zarazem, filozofię powszechną, ogólną. Nie posiadając wszakże żadnych na wielkiego filozofa warunków, powtórzył on tylko to co już przed nim powiedziano, co przytaczano i w co wierzone w jego epoce. Była to zaś epoka religijnego upadku, w której zwykle ludzie tracą wiarę, czując się zwolnieni ze wszelkich obowiązków tak względem Boga jak też co zatem idzie z powinności względem bliźniego, usiłują pokryć tę swoją nędzę moralną, mówiąc wiele o tych obowiązkach pod formą abstrakcyi. Wielki wyraz humanitarność jest wówczas w ustach wszystkich; filozofia humanitarna, instytucye humanitarne, humanitarne dążenia i instynkta — powtarzają wszyscy, radzi że te wyrazy zwalniają ich niejako w obec świata z obowiązku wypełniania bożego zakonu. W poezyi zaś uwalniają one od dokładnej znajomości człowieka i od ścisłego przestrzegania granic prawdopodobieństwa i rzeczywistości. Lamartine przyjął więc tę filozofię, która się humanitarną nazwała, przyjął religię z niej wynikłą a zwaną panteizmem. Wszystko, co istnieje, jest Bogiem, — Bogiem jest wszystko co ma byt i życie, a z tego wypływa że Bóg nie jest Bogiem, świat nie jest światem, człowiek nie jest człowiekiem. Do takiego przekonania doszedł Lamartine, a doszedł dla tego, że w religii nie widział nigdy źródła prawdy ale źródło poezyi, nie pragnął prawdy lecz zaspokojenia poetycznej wyobraźni; owocami zaś tego upadku, świetnym dowodem jak nisko upaść mogą ci co zboczyli z drogi szczytnego swego posłannictwa są dwa jego poemata: *Jocelyn* i *la Chute d'un ange*.

(C. d. n.)

## KS. JAN LEOPOLITA.<sup>1)</sup>

Najpierwsza a najzaczniejsza *per excellentiam* księga w polskim wydaniu języku zwana jest powszechnie Biblią Leopolity. Księga ta przez wszystkich prawie bibliografów tak naszych jako i obcych, ilekroć wspominali o pierwszych tłumaczeniach Pisma św. na język polski, przyznawana była księdzu Janowi Leopolicie, doktorowi św. Teologii.

Ostatnie krytyczne badania uczonego profesora jagiellońskiego uniwersytetu śp. Józefa Muczkowskiego w rozprawie o Janach Leopolitach w XVI wieku żyjących i o Bibliach Szarfenbergerowskich, drukowanej najprzód w *Dwutygodniku Literackim* krakowskim, tom II 356 str. a potem osobno w kilkunastu odbitej egzemplarzach, wykazały, że ks. Jan Leopolita nie był w istocie tłumaczem Pisma św. na język polski, poprawił tylko tekst już przetłumaczonej biblii przez ks. Leonarda, kapłana z zakonu św. Dominika, a poprawił wedle Wulgaty łacińskiej świętego Hieronima, o czym każdy baczny czytelnik wiedział, bo wydawca biblii, Mikołaj Szarfenberger, w dedykacji takowej Zygmuntowi Augustowi, najwyraźniej pisze, że dał poprawiać tłumaczenie biblii ks. Janowi Leopolicie, mistrzowi nauki krakowskiej.

Czy przez to wyjaśnienie upadnie już zasługa naszego księdza Jana? Czy przez to w szeregu uczonych kapłanów Polaków, których literackie prace doszły czasów naszych, już go pominąć mamy? Bynajmniej, odpowiadamy. Owszem, oceniając wysoce i jego niepospolitą naukę i mozolne a sumienne poprawienie tekstu, już przetłumaczonej biblii, słusznie wpisujemy go w poczet uczonych literatów-kapłanów i ochoczo przystępujemy do skreślenia życiorysu jego.

Ks. Jan Leopolita nazywał się rzeczywiście Nicz. Idąc za ówczesnym dziwacznym zwyczajem, przezwwał się od miejsca urodzenia swego Leopoliensis, z kąd potem urosło Leopolita, Lwowiec, Lwowiec, Lwowiec<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Doktor św. Teologii, profesor akademii krakowskiej i kanonik kolegiaty św. Floryana. Urodzony 1523 † 1572.

<sup>2)</sup> Ten zwyczaj przybierania często mimo rodzinnego nazwiska, drugiego z miejsca urodzenia, sprawia w bibliografii naszej okrutny nieraz zamęt, które mozolne tylko poszukiwania rozwikłać mogą. Ztąd też przed wy-

Urodził się we Lwowie roku 1523 z ojca Kacpra, obywatela miejskiego. Początkowe wychowanie i naukę odebrał w domu rodzicielskim i w szkołach lwowskich, zkąd w piętnastym roku życia udał się do przesławnej jagiellońskiej akademii w Krakowie i zapisał się na wydział filozoficzny roku 1538. Z chlubą dla rodziny a zaszczytem dla siebie ukończywszy kursa filozoficzne, roku 1550 jako mistrz nauk wyzwolonych i filozofii,znaczony był na nauczyciela parafialnej szkoły na Kazimierzu w Krakowie.

Chęć dalszego kształcenia się i szczerze powołanie do stanu duchownego skłoniły młodego Nicza, że uwolniwszy się wkrótce od

jaśnieniem Muczkwowskiego, bibliografowie nasi, z powodu że kilku było Leopoltów, prawie współczesnych sobie, brali często jednego za drugiego i nie mogli rozplątać sieci bibliograficznych, i rodowych w które się sami wkiłali. Śp. Muczkwowski w swej uczonej rozprawie wyliczył, że od r. 1495 do końca wieku XVI, 35 Lwówian Janów uczęszczało na akademię krakowską i zwali się każdy prawie *Leopoliensis* po łacinie, a po polsku *Leopolita*. Kilku znakomitszych, za stósowne uważam wymienić:

1. Ks. Jan Leopolita, profesor akademii krakowskiej, zwany od Mikołaja z Szadka filarem uniwersytetu — znakomity kaznodzieja, zostawił dwie ważne znane w druku prace: *Vivificae passionis Christi historica explanatio* i *De Matrimonio, neque licito, neque valido inter catholicos et haereticos* 1549. ostatniego dziełka Muczkwowski nie przytacza. Umarł w Krakowie 1536 r.

2. Jan Leopolita Waiss, profesor uniwersytetu od r. 1568—1576.

3. Ks. Jan Leopolita Wuchaliusz, właściwie Wenig, syn intrologatora ze Lwowa, pisał wiersze i był rektorem u Jezuitów w Kaliszu. Umarł 1596 r.

4. Ks. Jan Leopolita Alandus, Jezuita, magister novitiorum w Nieświeżu, spowiednik Radziwiłła Sierotki, z dzieł jego znamy: *Cuda św. Aniołów w Nieświeżu*, pamiątka Mikołajowi Radziwiłłowi, *Żywot księcia Mikołaja Radziwiłła. Soliloquia S. Augustini. Devotio hebdomadaria ad S. Michaelem*. Umarł 1641.

5. Ks. Jan Leopolita Ursinus, syn Walentego, profesor astronomii i matematyki w Krakowie i Zamościu, wydał: *Grammatica methodica*. Lwów, 1592. *De ossibus humanis tractatus tres*. Zamość 1610. — Urodził się 1563 † 1613 r.

6. Ks. Jan Leopolita Czechowicz, syn Jana, doktora filozofii, nauczyciel synów ks. Ostrońskiego, kanonik lwowski; wydał drukiem kilka kazań.

7. Jan Leopolita Joviusz, znakomity filolog, pisał po łacinie.

8. Jan Leopolita Petritius, syn Adama, filolog i doktor obojga praw, mieszkał we Lwowie.

9. Ks. Jan Leopolita Wuchaliusz, rektor kolegium Jezuitów w Kaliszu i Lwowie do r. 1608, wydał *Żywot Chrystusa Pana* r. 1592 i 1593 — wydanie bardzo rzadkie i śliczną napisane polszczyzną, *Żywot Najświętszej Maryi Panny* 1597 i 1648 i *Wzór życia chrześcijańskiego*.

obowiązków nauczyciela, z całym młodzieńczym zapałem oddał się nauce teologicznej; jakoż w roku 1552 znajdujemy go zapisanego w album uczniów wydziału teologicznego w krakowskiej wszechnicy. Niepospolita biegłość w językach starożytnych: greckim, łacińskim i hebrajskim ułatwiły mu niepomąłu nabycie potrzebnych nauk i przyspieszyły ukończenie przepisanych kursów. W chwili, w której młody teolog ukończywszy kursa teologiczne z predykatem „*cum eminentia laude*“ oczekiwał przeznaczenia, jakie mu władza duchowna naznaczy, drukarz krakowski, Mikołaj Szarfenberger nabył rękopism całkowitego przekładu Pisma św. na język polski; dostrzegłszy w tem szacownem dziele wiele czeskich zwrotów i wyrażeń, jako też chcąc się zapewnić o wierności tłumaczenia, słynnemu filologowi i niepospolitemu zarazem teologowi chce powierzyć niezmiernie ważną pracę — poprawienia stylu i porównania tekstu. Wybór Szarfenbergera padł na Jana Nicza. Dosyć w sobie czując zdolności i ochoty, podjął się nasz Nicz tej wielce mozolnej, a niesłychanie ważnej pracy, którą ukończywszy, oddał Szarfenbergerowi, a ten zajął się natychmiast drukiem tej wielkiej, pierwszej w języku polskim księgi Pisma świętego.

Skromność a raczej konieczna potrzeba uczynienia zadosyć woli tłumacza, nakazywały tak wydawcy, jako też i poprawiaczowi zataić istotne imię autora, z czego w liście dedykacyjnym do króla Zygmunta Augusta tak się tłumaczy Szarfenberger: „Ale iż kto biblię przetłumaczył, był prawie przeciwny onemu, który Kościół *Ephesiae Dianae* spalił: bo on ze złej rzeczy sławę chciał mieć, a ten i z dobrej mieć jej niechciał, bo imienia swego przy biblii nie zostawił, przeto już tak zatłumione być musi. A jakoż ją kolwiek bez imienia zostawił, tak mnie, gdy do ręki przyszła, widząc iż tego ludzie tak bardzo pragną.... starałem się o to abym jej komu poprawić dał, a starając się znalazłem księdza Jana Leopolitę mistrza nauki krakow. który wzięwszy tę pracę na się tak jej zdołał, że mam za to, chęć a pilność jego, pochwalone od W. K. M. będzie.“

Tak pisze wydawca i księgarz Mikołaj Szarfenberger; to zaś co po tej dedykacji, aż do samego tekstu starego testamentu następuje, jest pióra Leopolicy. Roku 1560 dnia 19 marca otrzymał święcenie kapłańskie a zaraz potem urząd kaznodziei w kościele parafialnym Wszystkich Świętych w Krakowie. Pierwsze kazanie, z którym wystąpił w swoim kościele dnia 21 czerwca, jako też kilka innych w ojczystym wygłoszonych języku a przepełnionych tekstami



Pisma św. taką mu zjednały sławę i tak go wysoce stawiły w gronie uczonych mężów, że wkrótce powołany został przez radę uniwersytecką na profesora Pisma św. w wydziale teologicznym. Ta sława jego jeszcze więcej wzrosła, kiedy w roku 1563 dnia 26 listopada legat papieżki Franciszek Kommendoni zwiedzając uniwersytet wszedł do audytoryum teologicznego na wykład Leopolda drugiego listu świętego Pawła do Koryntyan. Gruntowny rozbiór tego przytrudniejszego miejsca Pisma św. podniesiony niepospolitą wymową młodego profesora tak zachwycił nuncyusza, że nie tylko całą godzinę z wielką słuchalną uwagą, ale publicznie jeszcze pochwalił wykład i naukę jego. Zaszczyt podobny powtórnie go spotkał, dnia 22 czerwca 1565 roku, kiedy inny nuncyusz papieżki Juliusz Rugieri przesłuchał wyjaśnienia jego, listu świętego Pawła do żydów, a przesłuchawszy, publiczne mu złożył podziękowanie, za gruntowną znajomość Pisma św., następnie zaprosił go do siebie na obiad, i oświadczył życzenie, aby go uczony profesor, jak najczęściej odwiedzał. W roku 1564 w miesiącu grudniu, jako kaznodzieja przy kościele Wszystkich Świętych i profesor w akademii, powołany został na zaszczytny urząd kaznodziei w kościele archipresbyteryalnym Najświętszej Maryi Panny przy rynku krakowskim, a w następnym roku z pozostawieniem mu urzędu archipresbyteryalnego kaznodziei zaszczycony został kanonią w kolegiacie. Godności te i zaszczyty w niczem nie zmieniły jege trybu postępowania w dalszem i coraz dalszem kształceniu się umysłowo, jakoż po długich i mozolnych pracach, po twardych a trudnych próbach, otrzymał w kościele św. Anny laur doktora św. Teologii dnia 25 października 1569 roku. Z wielką dla siebie chwałą a z większym jeszcze pożytkiem dla wiernych sprawując urząd kaznodziei, i spełniając obowiązki kanonika kolegiaty 1570 roku mianowany był prebendarzem kaplicy św. Jerzego na zamku krakowskim.

Wyczerpawszy tych kilka drobnych szczegółów z życia Leopolda spojrzymy na chwilę w życie narodu i w tę epokę jego w której żył Leopold.

Kiedy w XVI wieku zaczęto za granicą prześladować różnowierców, główni ich mistrze lub pierwsi ich uczniowie garnęli się w ówczas do bogatej a swobodnej Polski, gdzie pod opieką możnych bezpieczniejszymi będąc jak na świecie całym, hojnej przy tem gościnności doznając, pięknie się odwdzięczyli swej drugiej ojczyźnie, bo rozsianiem po całej ziemi różnowierstwa, herezyi, odszczepieństw.

Pod opieką najprzód możnych panów, bezpiecznie w tej drugiej ojczyźnie swojej nowatorskie błędy zaszczepili w sercach dobroczyńców i opiekunów swoich; a gdy się to zdało rzeczą zbyt małą, rozszerzać herezye różnowiercze pomiędzy uboższą szlachtą, mieszczanami i ludem wiejskim za najważniejsze założyli sobie zadanie. Aby uwieńczyć zamiary swoje pożądanym skutkiem, zastawili sidła na duchowieństwo katolickie, przez nich albowiem uplanowali sobie odwieść cały lud polski od wiary ojców.

Pierwszą tak zyskaną dla nich osobą był słynny kaznodzieja z Maryackiego kościoła w Krakowie ks. Jan Nunhart. Namówiony od Piotra Stratoryusza zagorzałego Kalwina a potem arianina, wystąpił publicznie z kazaniem w kościele Panny Maryi w Krakowie, w którym począł odwozić lud od świętej katolickiej wiary, a zachęcać do przejścia do jednej z sekt, w której prawdziwe szczęście, znaleźć mogą.

Było to dnia 2 kwietnia 1572 roku. Błuznierczej mowy jeszcze był nie skończył nieszczęsny apostata a słowa jej doszły do uszu śmiertelną złożonego chorobą <sup>1)</sup>. Ks. Jana Leopolity kaznodziei w tym samym kościele, w którym tak wielką popełniono zbrodnię!

Chory na ciele, lecz zdrów na umyśle nasz ks. Jan zaledwo usłyszał, tę najboleńszą dla siebie nowinę, w świętem zachwyceniu zawołał:

„Wszechmocny wieczny Boże, który pragniesz zbawienia wszystkich, a niechcesz, aby która dusza zginęła, wejrzyj okiem miłosierdzia na mnie umierającego, i zatrzymaj chwilę skonania, a daj siłę i wesprzyj przedsięwzięcie moje“ <sup>2)</sup>.

Po tej serdecznej modlitwie z Bożego widocznie natchnienia, tak dalek mówił do otaczających śmiertelne łoże jego.

„Pragnę raz jeszcze a pono ostatni napomnieć drogich sercu memu Krakowian zdradą uwiedzionych, ażeby złość kacerską odrzucili od siebie i w prawdziwej trwali jedności na łonie matki naszej Kościoła świętego. Dla tego proszę, rozbiegniejcie się po kościołach Krakowa, aby zadzwoniono w ich dzwony a pytającym co to dzwonienie znaczy niech powiedzą: Szpieszcie do kollegium *Artistarum*

<sup>1)</sup> Skarga, Niesiecki, Muczkowski piszą, że ks. Jan Leopolita każąc na pogrzebie Stanisława Barsi wojewody krakowskiego d. 20 marca 1572 zaraził się od śwędu ze świec i z tąd zachorował.

<sup>2)</sup> Czas Dodatek. T. VIII 459 str.

(tak zwano kiedyś kolegium jagiellońskie), gdzie na jego dziedzińcu czeka was umierający kaznodzieja ksiądz Jan Leopolda, który pragnie Krakowian raz jeszcze upomnieć i pożegnać.“

Pomimo przedstawień przyjaciół o niepodobiestwie zamierzonego czynu, który przyspieszyć może zgon jego, stało się wedle życzeń ks. Leopolda. Zaniesiony na dziedziniec uniwersytecki, w krótkce przepełniony ludem, przyjąwszy w obecności tegoż ludu Ciało pańskie — wznosząc drżące od słabości ręce ku niebu, przemówił do zgromadzonych, ale głosem jakby łaską Boga ożywionym, bo takim, że aż od wszystkich był słyszany:

„Bracia, bracia ukochani! naśladowajcie zbłąkane bez matki jagnięta, zatęsknijcie do niej, wróćcie by nie zapomniała na piskłę swoją. Pokażcie się prawdziwymi synami kościoła, a czułą matkę znajdziecie w nim, która was do swojego przytuli łona. Niedopuszczysz Panie Boże, żeby tego Ciała Chrystusowego, którem jest Kościół Jego święty, zdrowa nauka, w której już sześćset lat jak Polska trwa, w posłuch szła, iżbyśmy się jej do końca wszyscy mocniej nie trzymali jakośmy poczęli, bo za tem rozdzieleniem, które teraz widzimy nic innego być nie może jedno wielki upadek tej sławnej korony....“ Bracia moi, bracia ukochani! zawezwałem was po to aby naprawić to zgorzenie, które się przed chwilą stało w kościele Maryackim, a uprosiwszy Majestat Boży, ażebym dni żywota mego poświęcone na lekarstwa tego niesienie, nie wprzód zakończył, aż go wam dam ten raz ostatni.... Zaklinam was przeto ludu krakowski, ludu mój polski, stój przy wierze Ojców świętych, stój przy wierze świętego katolickiego Kościoła — bądź gotów raczej życie stracić niżeli zaprzeć się Chrystusowej nauki....“

„Miłosierny litościwy Boże! wejrzyj okiem miłosierdzia na polski lud i złość kacerską — złożywszy błędzące serca jego, upamiętaj go i wykorzeń z nich wszelkie błędy a wróć go św. matce naszej — Kościołowi świętemu. Amen“<sup>1)</sup>.

Tych słów domawiając, pisze naoczny świadek, w taką popadł niemoc, że w twarzy jego śmiertelną okrytej białością, zaden nie drgnął muszkuł, w oczach jego wygasł ten ogień co je przed chwilą rozpromieniał, pożar znamionując i pożar wzniecając, oddech się jego zaparł a pierś gwałtownie się wzdęła. „Kona“ bolesnym wymówili głosem otaczający go, a poleciwszy modlitwom ludu, konając — prawie odnieśli do domu.

<sup>1)</sup> „Czas“ Dodatek miesięczny. T. VIII. 160 str.

Pięć dni jeszcze przedłuża Pan Bóg życia świętobliwemu Leopolicie, może dla tego aby doznał pociechy z nawrócenia się i żalu ks. Nunharta, może dla tego aby raz jeszcze słowo pociechy dać braci swojej.

Siódmego kwietnia zapukał Pan Bóg po duszę sługi swego. Odprawiwszy więc ostatnią już spowiedź i zasilwszy się na drogę wieczności, Ciałem Zbawiciela, gasnącym już wzrokiem obaczywszy około łoża swego kłęzące całe maryackie duchowieństwo w oczekiwaniu na błogosławieństwo męża świętego, wzniosłszy zażawione w niebo oczy, zamierającym już głosem tak się odezwał:

„Idę bracia moi przed sąd Boga, a jeżeli mnie miłosierdzie Boskie do swojego Majestatu przypuści, błagać Go nie przestanę, aby dozwolił mnie być przy tych aniołach stróżach, których macie i których mieć będą następcy wasi w Maryackim kościele... przy tych aniołach stróżach co na nasze prośby i wszystko dobre ozywają a od złego strzegą, będę błagał ich także, by kapłani tego kościoła byli powolnymi, uprzejmymi, pracowitymi, pobożnymi, miłującymi Boga i ludzi, obojętnymi dla świata a czuлыми dla biednych... słowem aby takimi byli jakimi Chrystus apostołem swoim być przykazywał, biorąc dla siebie za wzór i przykład tego apostoła narodów, który wołał: Ja żądałem odrzuconym być od Chrystusa za braci moich... Gdyby zaś znaleźli się między kapłany marjackimi tacy, coby opieka ich aniołów stróżów od złego nie ustrzegła, którzyby błędne nauki siali, złe życie pędzili, swych obowiązków zaniedbywali, to będę tych aniołów błagał, niechaj proszą Boga żeby takie kapłany natychmiastową śmiercią powołał przed sąd swój straszny, żeby nie byli zgubą dusz ich opiece duchownej powierzonych. Niech zaś zatem błogosławieństwem umierającego, które wam udzielam w Imię Ojca, Syna i Ducha świętego przyjdzie poświęcenie siebie dla dobra bliźnich <sup>1)</sup>“

Tych słów domawiając przytuliwszy do piersi krzyż w rękę trzymany zasnął snem anioła na wieki.

Bolesna nowina o śmierci ks. Leopolicy w moment obiegła Kraków. Przez dzień, jako i dwa następne lud odwiedzał zwłoki błogosławionego męża, jakby, procesyą jaką, rzewnymi oplakując łzami śmierć gorliwego apostoła.

Zwłoki jego ze czcią złożono w maryackim kościele, gdzie

<sup>1)</sup> Czas VIII. 469.

ośm lat ostatnich kazywał. W rok potem wzniesiono mu nadgrobek z popiersiem i z następującym napisem:

*Epitaphium Reverendi et Clarissimi Viri D. Joannis Leopoliensis. S. Th. Doctoris. Canonici S. Floriani. Concionatoris Cracoviensis. Anno Domini MDLXXIII. Mortui, Actatis XLIX.*

*Hoc tumulo moriens, poni sua membra Joannes.*

*Jussit, Patria, cui terra Leonis erat:*

*Eloquioque potens, vigilans et pastor ovilis,*

*Nam docuit Cives Jura sacrata Dei.*

*Moribus ac vitae cum suavissimus omni,*

*Gratus erat populo, principibusque viris.*

*Haereticam pestem dum fortibus opprimit armis*

*In medio cursu morte peremptus obit.*

*Vivat in arce Poli, Divorum lumine sacro,*

*Inter convivas Angelicosque Choros.*

Nagrobek ten ułożył Stanisław Marzeński, a mową pogrzebową uczcił zmarłego kapłana przyjaciel jego i towarzysz ksiądz Marcin Glicki. (Dok. nast.)

## PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

### Kritische Blicke in die Geschichte der Karpatenvölker im Alterthum und im Mittelalter

von

DR. JSIDOR SZARANIEWICZ.

Lwów, własnym nakładem, 1871, 8vo. str. 141.

Jednego tylko historyka wydała nowoczesna literatura ruska dr. Izydora Szaraniewicza, niezmordowanego, gorliwego i sumiennego pracownika na niwie dziejów krajowych, który od wielu już lat nie szczędzi, ani kosztów, ani trudów i mozołów dla wyjaśnienia przeszłości narodu, do którego sam należy. Pan Szaraniewicz w ciągu lat kilku ogłosił już cały szereg monografij bądź po polsku, bądź po rusku pisanych, w których bez wyjątku zajmuje się dziejami dawnego halicko-włodzimirskiego księstwa. Wszystkie te prace odznaczają się w ogóle niezwykłą sumiennością i gorliwością, tak, że imię p. Szaraniewicza zająć powinno wcale niepoślednie miejsce pomiędzy prowincjonalnymi historykami. Prowincjonalnym historykiem zaś nazwaliśmy szanownego autora, ponieważ w pracach swych nigdy nie wychodzi po za obręb dawnego halicko-włodzimirskiego księstwa, ponieważ widno-

krąg jego historyczny nie sięga po za granice tej prowincyi, a nawet znajomość literatury, jak to jeszcze zobaczymy, nie wychodzi prawie po za to, co się pojawiło w obrębie kraju, którego dziejami się zajmuje. Jeżeli pisarz jaki zajmuje się dziejami jednej prowincyi i to jeszcze takiej, której przeszłość dotąd była prawie zupełnie zaniedbana, wtedy (jeżeli posiada sumiennosc i gorliwosc taką, jak autor, o którym mówimy) zdziałać może na polu tej prowincjonalnej historii wcale nie mało, dojść do rezultatów wcale niepoślednich, utworować drogę późniejszym historykom w obszerniejszem tego wyrazu znaczenie. I do takich rezultatów doszedł rzeczywiście dr. Szaraniewicz. Lecz takie traktowanie rzeczy pociąga za sobą jedną niedogodność. Obracając się ciągle w szczupłym kółku jednej prowincyi, zajmując się bezustannie drobnymi sprawami małego kraiku, traci się powoli poczucie dla większych spraw dziejowych, zapomina się niejako o reszcie świata, patrzy się na wszystko tylko ze stanowiska tej prowincyi, zasklepia się w małym domku, jak ślimak w skorupie, nie umie się rozpoznać związku kraiku tego z obszerniejszym światem, z ościennymi narodami a wreszcie nie idzie się naprzód z obcą nauką, bo się jej nie zna, dla tego że ze stanowiska prowincjonalnego nie wielkie ona mieć się zdaje znaczenie. Jeżeli więc pisarz taki, który zajmując się historią owej prowincyi mógł się obejść bez znajomości obcej literatury, mógł sięgać po wiadomości zawsze wprost do źródeł, — popadnie kiedy na myśl zajmowania się tematem obszerniejszych rozmiarów, stosunkami rozleglejszemi, wypadkami większej dziejowej doniosłości, wtedy grozi mu niebezpieczeństwo, że tematu takiego nie potrafi rozwiązać dostatecznie, bo mu nie dostaje dość uniwersalnego poglądu, dość powszechnej znajomości literatury; wtedy pisarzowi takiemu będzie się nieraz wydawało, że odkrył coś nowego, że doszedł do jakiego nowego rezultatu a w rzeczywistości te nowe jego rezultaty w najszcześniejszym razie już oddawna były znane w obszerniejszej nauce; w mniej szczęśliwym już oddawna ta obszerniejsza nauka wykazała, że właśnie te jego rezultaty są mylne, nieuzasadnione. To co pisarzowi takiemu z ograniczonym widnokregiem prowincjonalnym wyda się trafnym i uczonym, dla pisarza wszechstronnie wykształconego, pojmującego dzieje z wyższego uniwersalnego stanowiska, wyda się nieraz zgoła niedostatecznym, na fałszywych podstawach opartym.

To cośmy dotąd mówili ogólnie o stanowisku prowincjonalnego historyka, zastosujemy teraz w szczególe do dr. Szaraniewicza. Dopóki szanowny autor zajmował się wyłącznie dziejami swej prowincyi, stosunkami li tylko do tego kraiku się odnoszącymi, o których dotąd prawie nikt jeszcze nie pisał, dochodził nieraz do wdzięcznych, cennych rezultatów, choć i tu, jak np. w monografii o stosunkach wewnętrznych wschodniej Galicyi w drugiej połowie XV wieku, błędził aż za często, kiedy atoli teraz puścił się na pole obszerniejsze, na pole wymagające nie tylko znajomości stosunków ruskich i odnośnych do nich wyłącznie źródeł, ale i stosunków a przedewszystkiem także literatury obcej, — zbłądził, noga mu się pośliznęła, nie stąpił już na pewnym znanym gruncie, w rozlicznych manowcach omackiem bez świa-

tła obszerniejszej nauki chodząc nie umiał i nie mógł dojść do celu, bo postawił sobie zadanie, przechodzące tak jego zdolności, jak zakres jego wiedzy, jak wreszcie horyzont jego dziejowy.

Pracą tą jest wydana świeżo w języku niemieckim przez dr. Szaraniewicza książka, której tytuł umieściliśmy na czele tej recenzji. Szanowny autor puścił się tutaj na jedną z najtrudniejszych kwestyj historycznych, etnografią starożytną. Kwestye takie szczęśliwie rozwiązać może tylko ten, który do nich przystępuje nie tylko z zasobem głębokiej erudycyi historycznej, ale i z gruntowną znajomością lingwistyki porównawczej. Przytem nastęrczają takie kwestye nieraz ogromne trudności krytyczne, które przewyciężyć tylko można przy pomocy głębokiego obeznanania się z nową metodą badań krytyczno-historycznych, a nieraz nawet sama ta metoda, bez pewnej jeniałnej bystrości oka, bez pewnej niejako wyższej intuicji wśród tych olbrzymich trudności nie wystarczy. Szanownemu autorowi zaś zbywa tak na tej metodzie, jak na ścisłej krytyczności i wiadomościach lingwistycznych. Dopóki chodziło o to, aby ze źródeł z mozołem i pracą zebrać ważne dla dziejów Rusi szczegóły i zestawić je w jedną choć tylko luźnie ze sobą skleconą całość, — dopóty wystarczały siły autora, lecz tutaj nie dosyć pozierać porozrzucane u Herodota, Strabona, Pliniusza, Tacyta itd. wiadomości o osiadłych na około Karpat ludach, tutaj trzeba wiadomości te odważyć, krytycznie zbadać, z całej kupy plew wybierać bystrem okiem, sumienną analizą ważne i cenne ziarnka, a do tego, mimo najszczerzych chęci, zdolności w szan. autorze nie widzimy. Bijemy czołem przed jego niestrudzoną pilnością, uznajemy jak najzupełniej najlepsze jego chęci, lecz mimo to wyznać musimy, że autor porwał się tutaj na zadanie przechodzące jego siły. Bez gruntownej znajomości zasad lingwistyki porównawczej w takich kwestyach autor naraża się na największe niebezpieczeństwa. Gdzie tylko widać jakie podobieństwo dźwięku, zaraz bierze ową dawną nazwę za identyczną z nowszem brzmieniem do niej podobnem. Taką drogą dójść można do najdziwaczniejszych rezultatów, ale nigdy do pewników dziejowych: taką drogą dójść można do twierdzeń owego lingwisty naszego, którego nazwiska w tej chwili przypomnieć sobie nie mogę, a który podobną metodą wytłumaczył, że wszystkie nazwy starych Greków i Rzymian wzięte były z narzeczy słowiańskich, a przedewszystkiem z polskiego. Lingwistyka porównawcza jest nauką mającą przyszłość ogromną, nauką, z której i dla historii z czasem wynikną świetne rezultaty, lecz zarazem nauką nadzwyczaj mozolną i trudną. Bez gruntownych studyów nikt w niej ani kroku postawić nie potrafi, a że szanownemu autorowi na takich studyach zbywa, o tem pewnie nikt nie wątpi, a ktoby wątpił, ten z książki jego przekonać się może. Owe podobieństwa w dźwięku, z których autor wydobywa tyle pewników lub przynajmniej prawdopodobieństw, nieraz są bardzo ludzące, przyznaje, lecz mimo to, jeszcze raz powtarzam, bez głębokich studyów lingwistycznych ani jednego rezultatu z nich wydobyć nam nie wolno.

Jeżeli więc te z podobieństwa brzmień przez autora wydobyte rezultaty bynajmniej jeszcze na wiarę nie zasługują, to cała metodyka dra Szaraniewicza wygląda jeszcze o wiele smutniej. Jest to zasadą pomiędzy wszystkimi piszącymi historykami pewnie prawie powszechnie przyjętą: że, jeżeli się ma pisać o jakim temacie, pisarz stara się najprzód zapoznać z literaturą, stara się dowiedzieć o tem, co i jak o temacie tym już napisano, a potem dopiero zaznajomiwszy się z literaturą, przechodzi do źródeł i bada, czy z nich nie dadzą się wydobyć inne wyniki, bogatsze wiadomości i czy wreszcie nie dadzą się odszukać nowe źródła, których poprzedni pisarze nie znaleźli i nie używali. Tak postępuje cały prawie świat piszący, z wyjątkiem jedynego prawie dra Szaraniewicza. Dr. Szaraniewicz bowiem właśnie przeciwnej trzyma się drogi, zamiast obznajomić się najprzód z literaturą, idzie wprost do źródeł, zbiera z nich z trudem i mozolem wiadomości, kleci z nich całość a tylko czasami, jakby mniej ważną rzeczą, zajmie się i nowszą literaturą, tak sobie mimochodem, od przypadku; że przytem pominie całe dziesiątki nader ważnych autorów, o to go głowa nie zaboli, on się zadowolni tem, że nagromadził mnóstwouczonych cytatów, że przejrzał cały stos greckich i rzymskich kronikarzy i kontent z siebie, z pracy swej i ze świata: tymczasem szkoda czasu i atlasu, bo nad tą samą lub przynajmniej bardzo pokrewną kwestyą pracowali już inni i pracowali z większym zasobem wiedzy, z większem uzdolnieniem krytycznem od szanownego autora, doszli więc też do prawdziwszych od niego rezultatów. Gdyby szan. autor był się z płodami temi nasamprzód zaznajomił, nie byłby sobie wylamywał zębów nad niejednym twardym orzechem, kiedy go już od dawien dawna inni mocniejszymi od niego zębami zgryźli i jądro na jaw wydobyli. Że szanowny autor wpadł na taką nieszczęśliwą metodę, w tem wina jego dotychczasowych prac; o stosunkach Rusi mało kto albo prawie nikt dotąd nie pisał, dr. Szaraniewicz więc w pracach swych nie mógł się dotąd posiłkować nowszemi dziełami, lecz musiał się zwykle uciekać wprost do źródeł. Zdawało mu się więc, że i o temacie, któremu poświęcił najnowszą pracę, nikt pewnie nie pisał, i tutaj zatem ograniczył się do źródeł, tylko mimochodem zaglądając do jakiego uczonego pisarza, jeżeli dzieło jego przypadkowo dostał do ręki. Tymczasem w niemieckiej literaturze zajmował się właśnie tą i pokrewnemi kwestyami cały szereg wyborowych, znakomitych pisarzy, jako to: Zeuss, Müllenhof, Büdinger, Grimm i wielu innych. Szanowny autor zaś z nich wszystkich cytuje tylko raz jeden (str. 140) jedno z dzieł Zeussa: *Die Deutschen und ihre Nachbarstämme* i to tylko tak mimochodem, że zdawać się musi, jakoby dzieła samego nawet nie miał w rękę, lecz przywoził autora tylko podług cytatu napotkanego gdzie indziej, przypadkowo. Zaraz, kiedyśmy książkę dra Szaraniewicza wzięli do ręki i przeglądali nasamprzód noty, uderzyło nas mnóstwo dosłownie przytaczanych wypisów z dawnych greckich i rzymskich autorów a zupełny prawie brak powoływań na nowocześnie, mianowicie niemiecką literaturę. W pierwszej chwili naturalnie sądziliśmy, że wina tego spada rzeczywiście na ubogi stan tej litera-



tury, na brak zupełny nowszych opracowań, dopiero kiedyśmy się sami w kwestyi tej rozpatrzyli, spostrzegliśmy, że owszem literatura ta jest bardzo bogatą, a tylko p. Szaraniewicz postępując zwykłą swą metodą, nie zaznajomił się z nią, nie postarał się o poznanie tego, co już inni na tem polu zrobili. Tym sposobem praca jego żadną miarą być nie może wyczerpującą, a taką praca naukowa być powinna, jeśli stać chce na wysokości dzisiejszych wymagań naukowych. Nie idzie zatem, żeby w pracy tej nie miało być żadnych nowych, ważnych rezultatów, owszem napotykamy tutaj nie jeden wcale zajmujący szczegół, lecz całość, z powodów, które powyżej obszernie wyluszczyliśmy, uważać musimy za niedostateczną i nieudalą.

Jeżeli zaś dr. Szaraniewicz w tej właśnie co ogłoszonej części: O starożytnych źródłach dotyczących ludów karpackich i rezultatach z nich wynikających miał do walczenia z takimi trudnościami, że przy swoich wiadomościach i swem uzdolnieniu pokonać ich nie potrafił, to przy następnych częściach, które na wstępie zapowiada, trudności te wzmogą się jeszcze znacznie a zwłaszcza przy części drugiej, która ma nosić tytuł: Wędrowki ludów i ich wpływ na ugrupowanie ludów karpackich. Tutaj bez gruntownej znajomości odnośnej literatury niemieckiej, nadzwyczaj zresztą bogatej, autor nie potrafi zrobić ani jednego kroku, nie potrafi dójść do żadnego pewnego rezultatu. Zanim więc autor przystąpi do opracowania tego tematu, radzilibyśmy usilnie i szczerze, aby stanowczo porzucił dotychczasową swą metodę i zaznajomił się nasamprzód z tem, co w ogóle o tej i pokrewnych kwestyach w nowszych czasach napisano. Wtedy będzie mógł pójść do źródeł i może, ale tylko może, więcej zadawalniająco rozwiąże zawily ten węzeł gordyjski.

Niemniejsze zresztą pewnie trudności napotka autor przy dwóch ostatnich zapowiedzianych częściach: Tworzenie się państw nad Karpatami i ich początkowe terytoryalne i międzynarodowe stosunki i powolne przekształcenie życia ludowego w Karpatach skutkiem wszechstronnej kolonizacyi. Wszystko to są kwestye nadzwyczaj zajmujące i ważne, ale, o ile się nam zdaje (*utinam falsus vates sim*) przechodzące zdolności i horyzont wiedzy gorliwego, pracowitego autora naszego.

Gdybyśmy pisali do pisma fachowego, poświęconego specjalnie historii lub etnografii, wypadaloby nam teraz przejść do szczegółów, rozebrać książkę autora od pierwszej do ostatniej stronicy, tutaj atoli ani miejsca potemu nie mamy, ani pismo nasze nie może się wdawać w zbyt obszerne, we wszystkie szczegóły wchodzące rozbiory. Musimy się więc zadowolnić na części ogólnej, na wypowiedzeniu zdania naszego o metodzie, zakresie wiedzy i dążności autora, a to właśnie uczyniliśmy na poprzednich stronicach.

Do krótkiego tego rozbioru dodać nam więc tylko jeszcze wypadnie parę uwag.

Samą swą pracę poprzedził autor wstępem o trzech stronicach. We wstępie tym poświęcił on dwie całe stronicie na wyliczenie prac,

które dotychczas ogłosił, i to nie tylko takich, które mogą rościć pretensją do wartości naukowej lub stać w związku, choć nawet luźnym, z treścią niniejszej rozprawy, lecz nawet najpobieżniejszych, najpopularniejszych, czasem ledwie parę stroniec zajmujących rozprawek. Książka autora napisana jest po niemiecku a więc przeważnie przeznaczona dla świata naukowego niemieckiego. Cóż więc, pytamy, obchodzić może ten świat naukowy niemiecki, np. to, że p. Szaraniewicz napisał w *Szkole* recenzją geografii Tatomira lub tłumaczonego przez Stoeger'a Kozenna lub najnowszych odkryć geograficznych Tatomira? Cóż interesować może ten świat naukowy, że p. Szaraniewicz napisał w *Oesterreichische Gartenlaube* dwie popularne, pobieżne rozpraweczki, któreby spokojnie zatonać mogły w morzu zapomnienia, a niktby nie na tem nie stracił i o którychby rzeczywiście nikt nie wiedział, gdyby sam autor tak natarczywie nie przypominał ich egzystenci. Jakiż cel tego długiego wyliczania? Czy szanowny autor chciał zadowolnić swoją próżność, wyliczając taki długi szereg prac? Lecz czyż to znaczenie i wartość naukowego pisarza oblicza się na funty zadrukowanego przez niego papieru lub na łokcie zapisanych przez niego linii, lub może na kwarty zużytkowanego przez niego atramentu? Jakiż związek tych popularnych rozprawek z pracą zasypaną aż do przesytu cytatami greckimi i łacińskimi? Lub czy może dr. Szaraniewicz chciał przez to ułatwić pracę przyszłemu swemu biografowi lub przyszłemu wydawcy „*Dr. Isidor Szaraniewicz's Gesamtwerte*”? Daremnie sobie łamiemy głowę nad celem tego wyliczenia; zadawalniającej odpowiedzi na pytanie to znaleźć nie umiemy.

Dalej radzilibyśmy szanownemu autorowi, żeby przy dalszych swych wydawnictwach dla wygody czytających raczył się przeciw choć raz postarać o lepszego korektora. W jego „*Rysie wewnętrznych stosunków Galicyi w drugiej połowie XV wieku*“ prawie na setki liczyć można błędy drukarskie. Tutaj kilkadziesiąt z nich poprawił autor na ostatniej stronie, a mimo to naliczyły się dała przynajmniej taka sama liczba niepoprawionych. Sądźmy bowiem, że do błędów drukarskich zaliczyć mamy np. ów lokacyjny przywilej Piwnicznej Szyji wystawiony przez Kazimierza Wielkiego w r. 1537 (str. 95). Gdyby szanowny autor był nam choć podał, z ką wzięł ten przywilej, moglibyśmy może sami sprostować tę rażącą omyłkę, nie uważał jednak tego za potrzebne.

Na zakończenie jeszcze jedną uwagę. Pisma polityczne lwowskie, o ile sobie przypominamy, donosiły, że dr. Szaraniewicz na zasadzie tej pracy zamierzał się habilitować na docenta historii powszechnej przy uniwersytecie lwowskim, lecz że fakultet filozoficzny przyznał mu tylko prawo do wykładów o historii ruskiej czyli dawnego halicko-włodzimirskiego księstwa i późniejszych jego losów. My z naszej strony decyzją tą fakultetu, jeżeli rzeczywiście tak się rzeczy miały, uważać musimy za nader trafną i zupełnie na nią się piszemy. Tak ta, jak wszystkie inne prace dr. Szaraniewicza, dowodzą tylko, że jest on obeznanym z historią ruską i z niczem więcej, po za granice kraju tego oko jego nigdzie nie sięga, literatury obcej nie zna,

a tak samo nowej krytyczno-badawczej metody. Do wykładów o ruskiej historii posiada więc kwalifikacye, do wykładów o powszechnej ich nie posiada. bo od wykładającego na wszechnicy powszechne dzieje mamy prawo wymagać wszystkich tych przymiotów, na których niestety zbywa dr. Szaraniewiczowi, a przedewszystkiem gruntownej znajomości literatury obcej. Boć jeżeli do zawodu takiego nie wystarcza znajomość literatury polskiej, toć tem mniej literatury ruskiej, która prawie nie egzystuje. W decyzji wydziału więc nie tylko nie widzimy żadnej niesprawiedliwości, lecz owszem jak najtrafniejsze osądzenie i pojęcie stanowiska profesora uniwersyteckiego. R.

## CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

### II.

(Dokończenie.)

Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii, literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastykizm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy prawne, dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

Gniewamy się na Jezuitów, że w szkołach uczyli filozofii według metody scholastyki — a dzisiaj jakąż metodę zaprowadziliśmy do szkół? Nie kłamię gdy powiem, że dzisiaj nie ma wcale żadnej metody w wykładzie filozofii ani w gimnazyum ani na wszechnicach. Nie ma nawet, rzecz niesłychana, podręcznika szkolnego;<sup>1)</sup> każdemu profesorowi wolno wykladać filozofią jak mu się podoba, wolno trapić biednych uczniów dyktowaniem lub przepisywaniem swoich skryptów, które zwykle są różnorodną kompilacyą a przy egzaminie domagać się rzeczy, których uczniowie wiedzieć a czasem i zrozumieć nie mogli. Pięknie też wyglądają dzisiaj te studia filozoficzne! W dwóch ostatnich klasach 7 i 8; w Prusach, w wyższej i niższej prymie, które zastąpić mają dawne dwa lata filozofii — ledwo dwie godziny tygodniowo poświęcone temu przedmiotowi.

Za to na wszechnicy, rok cały na to wspaniałomyślnie odłożono — i w tym roku ma być skończony zupełny wykład filozofii. Kto zna długość akademickich godzin i pilność frekwentacyi na przedmioty,

<sup>1)</sup> Zlecono p. Kremerowi, aby wygotował podręcznik loiki dla szkół gimnazyalnych. — Działo się to r. 1869, a więc przez 100 prawie lat nie było podręcznika żadnego! Czy temu Jezuici winni?

które mało interesują, ten oceni jaki pożytek jaki słuchacze filozofii ztąd odniosą<sup>1)</sup>.

Gniewamy się na Jezuitów o scholastykę. Nie oni ją przecież wynaleźli — nie oni sami według niej uczyli siebie i drugich. Od Sorbony i Oxfortu począwszy — system scholastyczny na wszystkich wszechnicach i akademiach Europy służył za normę w wykładach publicznych. Ignacy Lojola, Lajnez, Salmeron, Ksawery, Possewin, Kaniziusz, i inni pierw nim Jezuitami zostali, według systemu scholastycznego uczyli się. Dla czegoż, nie czyniąc Sorbonie i innym akademiom żadnych wtej mierze zarzutów, obarczamy niemi tylko Jezuitów? Godzi się już powiedzieć, jak Jezuci pojmowali zadanie filozofii i w jaki sposób ją wykładali. Użyję tu słów instytutu: „Ponieważ filozofia umysły przysposabia do teologii i innych nauk i służy do ich doskonałego poznania i użytku, i sama przez się pomaga wiele do wykształcenia rozumu a następnie do udoskonalenia woli: dla tego nauczyciel niechaj ją wyklada z należytą pilnością, we wszystkiem szczerze czci i chwaly bożej szukając, ażeby słuchaczów swoich do innych umiejętności, mianowicie do teologii przygotował, przeciwko błędom nowinkarzy zbroją prawdy obwarował a nadewszystko do poznania swego Stwórcy pobudzał“<sup>2)</sup>. Słowa te komentarza nie potrzebują. Każdy bezstronny przyzna, że Jezuci nierównie wyższe stanowisko wytknęli filozofii, aniżeli dzisiejsi mądrości przyjaciele. Podczas gdy dzisiaj głównem i jedynem zadaniem filozofii ma być rozwinięcie władz rozumowych — u Jezuitów miała ona służyć nie tylko do wykształcenia rozumu, ale nadto do utrwalenia w dobrem woli, ad perficiendam voluntatem, która za rozumem chętnie idzie; miała przysposobić umysł do poważniejszych studyów mianowicie teologicznych — a nadewszystko miała prowadzić do poznania Stwórcy przez zastanawianie się nad stworzeniem i uzbroić młode umysły przeciw błędnym naukom. Tak pojmując filozofią, niemogli Jezuci żadną miarą, jak powiada Bentkowski a za nim cały szereg literatów i p. Szujski „zabijać myśli, tamować wszelki podryw ducha, zabraniać badań i poszukiwań naukowych z obawy herezyi“. Owszem musieli nakazywać podobne badania i sami badać owe *errores novatorum* (błędy nowinkarzy) aby wykazać po czyjej stronie prawda, inaczej przeciw nim uzbrajać młodych umysłów nie mogli. Moi panowie, co krok wielką krzywdę czynicie Jezuitom; jeden rzeczy nie-

<sup>1)</sup> W jakim zapoznaniu i wżgardzie zostaje filozofia dni naszych, najlepszem dowodem akademii Jagiellońska, na której profesor Kremer, autor kilku dzieł filozoficznych wykladał r. 1858 filozofią dla dwóch uczniów.

<sup>2)</sup> *Quoniam philosophia ingenia disponit ad theologiam aliasque facultates, et ad perfectiorem cognitionem et usum illarum inservit, et per se ipsam ad intellectum excellendum, et consequenter voluntatem perficiendam juvat, eam qua par est diligentia in omnibus sincere honorem et gloriam Dei quaerendo, praeceptor ita tractet, ut auditores suos ad alias scientias, potissimum vero ad theologiam praeparet, contra novatorum errores armis veritatis munit, maximeque ad cognitionem excitet sui creatoris.*“

Rat. st. reg. I. prof. phil.

świadomy, lub zlej woli, lub interesowany w osławieniu Jezuitów krzyknął — już wszyscy za nim chórem powtarzacie. Wiercie mi, o zabójstwo ducha was nierównie słuszniej obwinięby można. Sami zabijacie własną myśl, tamujecie podlot własnego ducha, skoro na ślepo, jak dzieci za panią matką pacierz, powtarzacie co jeden napisał; sami lękacie się krytycznych, sumienniejszych badań, aby snąć niewinność Jezuitów nie wyszła na wierzch. Osławiliście ich wszędzie jako zabójców oświaty, krzewiście ciemnoty, gnębiście rozumów — nazwaliście ich wiedzę i dążności naukowe *zaciemniającym radykalizmem jezuitkim*<sup>1)</sup> i poczęto wam wierzyć. Kosztem dobrej sławy Jezuitów w dzisiaj jesteście luminarzami narodu — ale bogdaj was nie spotkał straszny odwet.

Jezuici nie uczyli w szkołach na tak wielką skalę historii, matematyki i fizyki, dla przyczyn które wyżej wskazałem — to jednak nie przeszkadzało im, aby w tych umiejętnościach prawdziwie olbrzymich zasług nie położyli.

Nie ma narodu, któregoby dzieje, zupełnie albo częściowo przez Jezuitów opracowane nie były. Na polu przyrodniczych studiów poczynili ważne odkrycia i znakomite dzieła potomności przekazali.<sup>2)</sup> —

<sup>1)</sup> Patrz r. 1867 napisaną broszurkę p. Szujskiego: „Kilka prawd z dziejów naszych“ str. 6.

<sup>2)</sup> O. Krzysztof Clavius wynalazł zegary słoneczne i narzędzia do tego potrzebne — a w swym czasie pod koniec XVI wieku był wyrocznią matematyków. Równie w swym czasie głośnymi byli OO. Gulden i La Fille przez zastosowanie praw Keplera do różnych części koła i elipsy. O. Grzegorz de St. Vincent znany przez swe dzieło „Theoromata mathematica“ i „Opus geometricum quadraturae circuli“ składał z Deskartem i Fermetem, według wyrażenia Leibniza, triumwirat geometrii. — OO. Nikolas i Jakób Kręsa rozwinęli zasady trygonometrii. — O. Riccati, twórca algebry transcendentalnej, napisał traktat o „Rachunku integralnym“ który dotąd uchodzi za jeden z najlepszych.

Jezuita Grimaldi dziełem „de lumine et coloribus iridis“ tworzy system undulacji, a wraz z Jezuitą Riccioli i Jerzym Scheinerem jest współzawodnikiem sławnego Galiena.

OO. Zucchi i Kircher sławni matematycy i fizycy w Rzymie, od protestanckich nawet książąt otrzymywali pieniądze na eksperymenta, których teorią stworzyli.

O. Schanberger wynalazł nowy system zegarów i ogłosił w dziele „Demonstratio et constructio novorum horologiorum.“

O. Gosman pierwszy wynalazł balon a oskarżony przed inkwizycją o czary bronił się w ten sposób, że przyrzekł całą inkwizycją świętą balonem wynieść w powietrze. Musiał jednak dać spokój dalszym eksperymentom — aż dopiero Montgolfier ustalił i sprawdził teorią balonu. Jezuita Boskowicz uzupełnił system Newtona dziełem: „Przyciąganie (attrakcja) jako prawo powszechnie.“

Poczobut sławny astronom w Wilnie był Jezuitą lat blisko 30 aż do chwili kassaty.

Dykcyonarze encyklopedyczne, nauka prawa, żegluga, sztuka fortyfikacyjna, mineralogia, botanika, medycyna, wszystkie te tajemnice wiedzy i natury wchodziły w obręb naukowych prac zakonu<sup>1)</sup>. Słowem, nie ma galezi nauk i wiedzy ludzkiej, którejby pracowita ręka Jezuitów nie obrobiła. W osmdziesięciu dwóch językach napisali Jezuitów gramatyki i słowniki — dzieła ich teologiczne, filozoficzne i ascetyczne nie dadzą się policzyć.

<sup>1)</sup> Jezuitów pierwsi pozaprowadzali obserwatoria astronomiczne w swych kolegiach — a rozrzucając po świecie całym, z równą starannością komunikowali sobie poczynione odkrycia w naturze, jak postęp w misjach.

Głośnym jest jeszcze dzisiaj encyklopedyczny „*Dictionnaire de Trévoux*“ redagowany przez Jezuitów, z którego encyklopedyści kompilowali. — *Gradus ad parnassum*: napisał O. Aler. Słownik poetyczny: O. Vanier. Słownik strategiczny, architektoniczny i rolniczy: O. d' Aquino.

Jezuita l' Hoste napisał o żegludze dzieło znane pod nazwą „Książka Jezuitów“ z której uczyli się aż do XIX wieku angielscy oficerowie marynarki; a trzy inne dzieła: o budowie okrętów, o zjawiskach morskich i zbiór matematycznych wiadomości potrzebnych oficerom, służyły za podręczniki szkołom marynarki we Francji, Holandji i Anglii.

Jezuita Garton Pardies zastósował zasady geometrii wyższej i mechaniki do sterowania i poruszania okrętów.

Jezuita Borgo napisał dzieło o sztuce fortyfikacji i obronie placówek. — Jezuita Lineck, Szwartz, Stefanucci, O. Biner napisali dzieła: *De legibus* — *Institutiones juris universalis naturae et gentium* — *Disertationes canonicae* i dykcyonarz prawniczy *Apparatus eruditionis ad jurisprudentiam*. — Jezuita Menestries pisał dzieła o heraldyce, turniejach i dekoracjach.

W dziedzinie historii naturalnej pracowali Jezuitów: Bernard Cesi, Gzucitivany Boym, Beze, Bonnani, Goyi Akosta, Soucier.

Zakon wydał znakomych malarzy, jak: Seghers, Valeriano, Latri Castiglione, Dandini, Attiret; rzeźbiarzy jak Flamieri; budowniczych jak de Raut, Masse, Mattange; muzyków, jak Erazm Marotta; medyków, jak Krzysztof Malter.

Użycie chininy, rebarbarum, gumielastyki, wanilii, kopajwy, wykryli misyonarze Jezuitów. We Francji i Anglii chinina znaną była długi czas pod nazwą proszku Jezuitów. Porcelany, indyki i kasztany sprowadzili do Europy Jezuitów misyonarze chińscy. Zródła Nilu odkrył jezuita Paëz r. 1618 Zródła Orinoko i Maranonu O. Emanuel Roman. Ujście rzeki Missisipi O. Marquette.

Po kasacji r. 1772 zakonu, dwory które tyle należały na jego zgubę, popełniły dziwną sprzeczność. Rząd francuzki n. p. wygnawszy już na lat kilka pierwszej Jezuitów, łożył kosztą podróży Jezuitów włoskim i hiszpańskim, płynącym na misyje zaatlantyckie, byleby tylko dalsze naukowe korespondencye z Sorboną utrzymywać chcieli. Szkoły a nawet wszechnice zostawiono na długi czas pod kierownictwem tych Jezuitów, których naukę i moralność potępiono. Pierwsze infuły w państwie oddawano Jezuitów — a na Watykanie najważniejsza posada teologa papieżkiego osadzoną była przez exjezuitów wyłącznie, aż do chwili przywrócenia zakonu.

U nas w Polsce praktykowano to samo, a exjezuitów Naruszewicz, Albertandy, otwierają nową epokę dla krytycznej historii.

To już samo dowodzi, że edukacja Jezuicka nie musiała być tak ograniczoną i zaciemniającą umysł, jak chcą panowie literaci — a zarzut, jakoby Jezuiti naumyślnie źle i mało w szkołach uczyli, aby uwydatnić własną swą mądrość i utrzymać się na wysokim stanowisku sterowania monarchom i narodom, jest tak nedorzeczny, że trudno pojąć, jak człowiek rozumny może go powtórzyć. Wszak to jest szlachetną słabością wszystkich uczonych, że pragną to, co sami umieją, w czem sami mają zamilowanie, rozpowszechnić z ujmą nawet innych umiejętności. Ta psychiczna konieczność komunikowania swej wiedzy drugiemu, może być pogwałconą dla jakich tam widoków lub rachub przez pojedynczych ludzi — ale nigdy przez cały zakon, który w samej Francji r. 1625 edukował więcej jak 60.000 młodzieży<sup>1)</sup>. Wszakże młodzi Jezuiti w tychże samych kolegiach i pod tymi samymi profesorami pobierali nauki co i młodzież świecka — edukując więc młodzież świecką na głupców, czy nie szkodziłby tem Zakon samemu sobie? Obok brzydkiej zawiści występuje tu jeszcze brzydsza niewdzięczność. Z długoletnich prac Jezuitów korzystali uczeni i mędrzy, samych encyklopedystów nie wyjąwszy — a kompilując w najlepsze, ciężką pracę zniesionego zakonu za własną udając i zysk z niej ciągnąc — osławili w dodatku dobrą jego pamięć<sup>2)</sup>.

Weźmy teraz pod rozwagę moralną stronę edukacji jezuickiej. Zwykle szkoły Jezuitów słynęły z dobrych obyczajów i porządnego prowadzenia się uczniów. Samym Ojcom, jeżeli kiedy jaki zarzut w tej mierze czyniono, to zarzut przesady, że zbyt starannie przestrzegali czystości obyczajów powierzonej sobie młodzieży. Wobec takich przekonań dosyć rozpowszechnionych, dziwnie zaprawdę odbijają zarzuty demoralizacyi, jakimi w swej bezstronności grono polskich literatów obarczyło jezuicki system wychowania. Wytykają ci panowie jako ujemne strony moralności systemu: emulacją, popisy i dysputy, a w dodatku szpiegowanie i nadużycie kar cielesnych.

Zarzut emulacyi podniósł głównie pan Szujski, który w t. IV Dziejów polskich na karcie 360 wypowiada otwarcie, że „system pedagogiczny był moralnie i intelektualnie fałszywy i zgubny“, że wykazywać dokładnie szkodliwość tej edukacyi nie uważa za rzecz potrzebną — bo czemuż innemu przypisać, że naród z postępem Europy na polu umiejętności i polityki nie poszedł, czemu przypisać... itd.“ Ale dajmy pokój temu „czemu“ — bo pominąwszy, iż to dziwnie ciekawy sposób pisania historii zbyć postawioną ważną kwestyę wygodnym „bo czemuż“, pan Szujski przecież nie uwierzy, że edukacya jezuicka, i tylko ona sama, zacofała o wiek cały cywilizacyą w Polsce i zabiła duchowo naród. Dalej opierając się na Kitowiczu, żali się p. Szujski na „system emulacyi i szpiegowania zaprowadzony

<sup>1)</sup> Crétineau-Joly t. 3 str. 335.

<sup>2)</sup> Ogrody n. p. Delilla są w wielkiej części kompilacyą dzieła „des Jardins par René Rapin“ Jezuitę.

w szkołach jezuickich“<sup>1)</sup> Otóż o tej niemoralności systemu emulacyi powiedzmy słów kilka, a potem o dyalogach i dysputach, szpiegach i kańczugach zdam krótką sprawę.

Pytam, zasada emulacyi jestże prawą i moralnie godziwą? — Jest bez wątpienia.

W dzisiejszych szkołach nie odzywają się profesorowie co szlachetniejsi, do uczniów starszych w imię punktu honoru? Niestety tego punktu honoru, tego szacunku dla samego siebie, coś dziś nie wiele i coraz mniej między uczniami — odwoływać się jednak do punktu honoru nie jestże to wzywając do emulacyi?

Rodzice mając kilku synów, czy nie pokazują na wzór jednemu postępkę lepszego brata — czy nie wskazują palcem tego lub owego chłopca. nieraz i ubogiego, mówiąc: „patrz jak on pilny, pracowity, szlachetny chociaż ubogi?“ — Nie jestże to wzywać do emulacyi? A dzisiejsi publicyści i pisarze, kiedy zachęcają młode pokolenia do „staropolskiej cnoty“, do naśladowania Żółkiewskich, Czarneckich, Sobieskich, czy nie wzywają do emulacyi?<sup>2)</sup>

Dla katolików jeszcze dowód jeden więcej. Co czynią kaznodzieje na ambonach, wzywając do naśladowania Świętych pańskich, co czyni Kościół, stawiając na ołtarzach obrazy wielkich, w kościele Chrystusowym, mężów i niewiast, co czynił Paweł święty pisząc do świeżo nawróconych chrześcijan: „*Charissimi aemulemini charismata meliora*“<sup>3)</sup> — jeżeli nie wzywali do emulacyi? Jest więc zasada emulacyi dobrą i moralnie godziwą — jeżeli więc Jezuitci wprowadzając system emulacyjny, zgrzeszyli, jak żali się p. Szujski, to zgrzeszyli nadużyciem zasady. Obaczymyż czy było nadużycie.

Emulacya, tj. żądza, pragnienie stanąć na równi z innymi, jest wrodzoną wszystkim ludziom; w młodym wieku szczególnie jest silną i namiętną, a skierowana do rzeczy dobrych, staje się tem samem

<sup>1)</sup> Dla czegoż p. Szujski nie opiera się na Kitowiczu wtenczas, kiedy ten nieszczerze Jezuitom życzyliwy pamiętnikarz z chlubą o nich wspomina? np. w tomie I, str. 64, t. II, str. 12 itd. Czyli źródło historyczne wtenczas jest tylko czyste, kiedy z niego coś na niesławę Jezuitów da się zaczerpnąć?

<sup>2)</sup> Dnia 1 listopada 1869 r. na zgromadzeniu członków lwowskiego oddziału Towarzystwa pedagogicznego, wniósł p. Mosakowski sprawę „egzaminów publicznych“, wykazując ich strony ujemne: zaprawę do chełpliwości w działwie, tamowanie w niej charakteru, sposobność wyborną oszukiwania blichtrzem itp. — słowem, zarzuty, jakie literaci popisom jezuickim zwykle zadają.

Otóż w obronie publicznych egzaminów stanęli koryfeusze liberałów lwowskich, pp. Wild i Dobrzański. Pierwszy pochwalając zdanie ks. Mazuraka, iż takowe popisy służą do rozwoju szlachetnej ambicyi, dodał, że są nadto „ważne dla życia publicznego“. Drugi uważa je jako środek do „koniecznego“ rozbudzenia ambicyi dzieci. Tak więc ludzie liberalniejsi od pana Szujskiego stają w obronie Jezuitów. (*Gaz. Nar.* r. 1869, nr. 291).

<sup>3)</sup> Pragnijcie lepszych darów. I kor. XII. 31.



walną dźwignią działania. Jezuita wiedzieli o tem i postanowili wyzyskać tę szlachetną skłonność młodocianego wieku. Dla tego w szkołach swoich zaprowadzili współzawodnictwo uczniów jednej klasy między sobą i klas wyższych z niższymi, co się nazywało *concertatio*. Zasada ta, w praktyce wykonywała się w ten sposób:

Skoro szkolny rok rozpoczął się, profesor dzielił uczniów na ślepy trój na dwa oddziały; zadał potem ćwiczenie szkolne. Dwaj, którzy je najlepiej wypracowali, zostawali dowódcami oddziałów; ci którzy zaraz po nich najmniej błędnie napisali, przydani im byli jako podkomendni. Owi tedy dwaj wodzowie, zwani „*Consules*“ w towarzystwie dwóch lub trzech „kwestorów“ ustawiali całą klasę w pary po dwóch równych sobie w naukowym postępie, i ci nazywali się „*Aemuli*“. Z tych dwóch emulów wybierał sobie każdy konsul jednego. Tym sposobem cała klasa podzieloną została na dwa o równych naukowych siłach i zdolnościach oddziały, które dla nadania sobie poluru erudycyi, przybierały dowolnie nazwy Rzymian i Kartagińczyków, Greków lub Macedończyków itp. Kiedy profesor zapytał ucznia np. z obozu Rzymian, natychmiast stawał jego współzawodnik z obozu kartagińskiego — jeżeli zapytany dał dobrą odpowiedź, ostatni milczał, jeżeli złą — wówczas odpowiadał za niego. Gdy zaś i ten nie umiał odpowiedzieć, profesor pytał drugiego, wołając „*sequens*“ — zaraz wstawał jego aemulus. Odpowiadający otrzymywał dobrą lub złą notę w katalogu profesora — ale nadto kwestor zapisywał jedną dobrą lub złą notę całego obozu. Dobre więc noty pojedynczych uczniów składały skarb, złe noty stanowiły dług publiczny całego obozu. Z końcem miesiąca obliczano plus i minus każdej partyi, po której stronie było więcej plus, po tej stronie wygrana na ten miesiąc. Kilka razy w rok urządził profesor publiczne rozprawy, tj. ukończywszy jaką część gramatyki lub objaśnienie autora, pragnął przekonać się o wiedzy i odniesionej korzyści uczniów. Przy takiej koncertacyi konsulo wie i kwestorowie zasiadali na krzesłach jako „*examinatores*“, dając kolejno pytania — w odpowiedzi na nie wstawał zawsze wywołany imieniem uczeń i jego aemulus. Bywało, że taki konflikt naukowy staczały klasy wyższa z niższymi, w którym też same tylko mniej lub więcej obszernie wykładano przedmioty. Wtenczas dwa obozy przeciwnie jednej klasy podawały sobie bratnią dłoń i zgodnie uderzały na wroga.

Taka jest ryczałtowa treść owej demoralizującej emulacyi. Wy-pisałem ją z Rat. stud.<sup>1)</sup> a nie przestając na niemej literze, pytałem tych, którzy chodzili do szkół pod Jezuitami.

<sup>1)</sup> *Regulae communes profesoribus classium inferiorum. Reg. 34—35.* Nie wiem na jakich dokumentach oparty autor. „O reformie dziejowych wykładów na podstawie indukcyi“. — Kraków, 1868, na str. 26 zawyrokował:

„Ze szkół jezickich wychodzili same wierutne łotry — zdrajce ojczyzny, z pijarskich zaś i komisji edukacyjnej najzawołąnsi bohaterzy.“ — Nowa próbka jak się pisze o Jezuitach.

W gimnazyjach jezuickich w Galicyi przed 1848 r. system ten emulacyi istniał także — ludzie wyszli z tych szkół, żyją jeszcze i ważne zajmują lub zajmowali stanowisko. P. Szujski może ich zapytać, jak ja pytałem, czy owo współzawodnictwo nie rzuciło zarodu nienawiści między uczniów, czy nie przychodziło z tej przyczyny do sporów namiętnych — do pochlebstw względem profesora, — a odbierze taką jak ja odpowiedź, że to nie tylko nie demoralizowało, ale podnosiło moralnie, bo rozbudzało poczucie własnej godności i przyzwyczajało uczniów do pewnego rodzaju samorządu, do występowania publicznie z godnością i śmiałością, a było jednym bodźcem więcej do postępu w naukach.

A teraz panu Szujskiemu powiem, jeszcze więcej, czego może nie wie. Nie tylko w naukach ale i w enocie i czystości obyczajów wprowadzili Jezuiti emulacyą. Do tak zwanej „*Congregatio mariana*“ nie przyjmowali jak tylko najzacieńszych uczniów — i z tego kwiatu szkolnej młodzieży najnotliwsi w obyczajach a najpilniejsi w naukach wybierani zostawali na prefekta i asystentów kongregacyi.

Wielka ich była władza w kongregacyi, wielka cześć u kolegów, u profesorów szacunek: przewodniczyli posiedzeniom kongregacyi — przystępowało im prawo wstawiania się za winnymi i wyproszenia ich od kary. Gnuśniejących w pracy lub wykraczających przeciw przyzwyczajeniom wykluczano z kongregacyi — było to tak wielką karą, jak niegdyś w wojsku polskim odpędzenie od chorągwi. Znowu mniej wzorowych uczniów zachęcano do poprawy obietnicą przyjęcia do kongregacyi. Demoralizowało to młodzież szkolną? Niech p. Szujski pyta tych, którzy uczyli się u Jezuitów — a w potępianiu Jezuitów niech będzie ostrożniejszym i nie woła przedwcześnie: „rehabilitować edukacyi jezuickiej nie może jeno głupstwo i przewrotność“.

Teraz słowo o popisach i dysputach

Jezuiti kazali swym uczniom popisywać się — to demoralizacya, kazali dysputować — co za głupstwo! Panowie literaci nie mogą wabaczyć Jezuitom popisów, wierszydeł, dyalogów itd. „Szumnianie odprawiane popisy, skarży się p. Szujski, (Dzieje polskie, t. III. str. 245) i uroczystości kościelne i szkolne, dramata grane przez uczniów przed publicznością, drukowane wierszydła okolicznościowe — wszystko to czczym blichtrzem znęcało i mamiło ludzi i zastępowało głęboką naukę, „której Jezuiti nie lubili“. Otóż pierwszy raz słyszemy, że „uroczystości kościelne (sic) znęcają czczym blichtrzem i mamią ludzi“. Mniejsza o to — ależ czy w wiekach XVII i XVIII w Francyi równie jak w Polsce nie popisywano się w szkołach podległych zarządowi akademii, w szkołach dominikańskich, bazylikańskich, pijarskich itd.? To popisy tylko w szkołach jezuickich miały dążność demoralizującą a gdzie indziej nie? Manewra wojskowe, to nie popisy? Mówimy, to ćwiczenia wojenne — a popis szkolny nie był ćwiczeniem naukowym? „Wierszydeł okolicznościowych“ nie pisał sam p. Szujski na przyjęcie gubernatora hr. Gołuchowskiego, które wygłaszała w teatrze krakowskim jedna z aktorek? Podobny

sposób uświetnienia uroczystości nie byłże w zwyczaju u starych Greków i Rzymian zarówno jak dzisiaj u „cywilizowanych Polaków”? Na jakiejże akademii Europy — w jakiej szkole filozoficznej w Rzymie, Padwie, Bononii, Paryżu, Wirtembergdze lub Wiedniu nie dysputowano w wiekach XVII i XVIII — nie odprawiano aktów publicznych? Czyliż i dzisiaj przy promocyach na doktorów nie dysputują publicznie? Akt habilitacji nie jestże popisem i dysputą? Ile pytań, tyle dowodów przeciw apodyktycznym wyrokom panów literatów. Należy jednak rzecz zgłębić do dna.

Popisy nie były egzaminem. Egzaminy odbywały się na tydzień przed popisem wobec prefekta, profesora i dwóch na to zaproszonych słuchaczy filozofii lub teologii<sup>1)</sup>. Na popis klasyfikacja już była gotowa, a cel popisu był podwójny, raz nagrodzić pilność dobrych uczniów, którym wystąpienie publiczne wobec rodziny i gości nie mogło być jak tylko bardzo miłym i zachęcającym; drugi raz sprawić przyjemność samym rodzicom i okazać jak daleko ich synowie w naukowem wykształceniu postąpili. Popisywanie się z samych przedmiotów szkolnych nie mogło być dosyć interesującym, dla matek szczególnie, które Cicerona i Demostenesa nie zawsze rozumiały<sup>2)</sup>; potrzeba więc było popisywać się z czegoś innego jeszcze, jak z szkolnych przedmiotów. Przy ówczesnej rzadkości teatralnych przedstawień, które na żywe, bujne umysły Polek tem większy urok wywierać musiały — sceniczne wystąpienia uczniów były rzeczą najodpowiedniejszą celowi popisu. Dzisiaj, kiedy przywiązujemy taką wagę, acz nie wiem czy słusznie, do teatrów,<sup>3)</sup> nie zechcemy zaprzeczyć, że dla samychże uczniów scena była szkołą oratorskiej akcyi, deklamowania i ośmielała ich z publicznością. Ale gdzież znaleźć sztuki odpowiednie wiekowi i warunkom aktorów? Prócz „Odprawy posłów” Kochanowskiego, nie znano prawie żadnego na ówczesny polski dramat. Mianoż je po-

<sup>1)</sup> *Rat. stud. reg. prefecti. reg. 21.*

<sup>2)</sup> Dla ojców, starych polonusów, było to rzeczą pożądaną — dla tego szkolne przedmioty nie były wykluczone z popisu, ale złączono popis z przedmiotów z popisem deklamacyjnym, teatralnym nieco. Bezstronny sędzia przyzna w tem słuszność Jezuitom.

<sup>3)</sup> Nie bez przyczyny powątpiewam. Obecny kierunek wychowania zwraca się ku poganizmowi. Liberalność edukacyi przeradza się niemal w niemoralność. W tym kierunku postępując, okrzyknęliśmy teatr główną dźwignią oświaty — a jakże nędzne, niemoralne sztuki grają na teatrze! W pojęciu rozsądnego obywatela chrześcijanina teatr ma wysokie zadanie. Powinien, nauczając dobrego smaku, zachęcić publiczność do czynów znacznych, wzbudzić w niej wstręt do zdrożności codziennego życia, zamięłowanie do cnoty, a przede wszystkim do cnot obywatelskich. Tak pojmował powinności teatru Niemcewicz gdy pisał takie komedye jak „Poseł” — tak pojmują teatr nawet poważniejsi publicyści. Tymczasem teatr stał się zabawą i niczem więcej, jednym sposobem więcej zabicia czasu — odmawiamy mu czynem znaczenia wyższego, mianowicie znaczenia moralnego. Sztuki teatralne są niektóre tak niemoralne, że p. Ludwik Powidaj, który wręcz powiada, że teatr nie może zgorzyszyć ni-

zyczać od Francuzów i polszczyć, jak to dziś czyni śmiesznie teatr ruski? Albo może pisać nowe komedye, dramata i tragedye? Tak, Jezuitci wydali znakomitych pisarzów sceny — ale były to dramatyczne sztuki w języku łacińskim na wzór Sofoklesa i Platona — dla wielu więc osób, dla kobiet szczególnie, nie były zrozumiałe. Nadto sztuki te tracić musiały wiele z swego wdzięku i uroku z przyczyny, że role kobiet tak ważne w dramacie, zgoła na scenie odegrane być nie mogły. Niechby Jezuitci do teatru szkolnego wprowadzili kobiety, lub chłopcom kazali grać ich role, jak to niegdyś czynili Pijarzy w swych konwiktach, lub jak niedawno teatr krakowski kazał aktorkom grać rolę rycerzy<sup>1)</sup>; dopieroby posypał się na nich kamienny grad krzyków i zarzutów demoralizacyi. Cóż więc w takich okolicznościach mieli czynić Jezuitci? Scena jeszcze nie była u nas wydoskonaloną — na dworach królów grano włoskie i francuzkie sztuki — oryginalności i stworzenia sceny polskiej nikt od Jezuitów rozumnie domagać się nie może. Cóż im tedy pozostawało? Nic jak dyalogi. Panowie literaci z profesyi naśmiewają się z owych dyalogów, udalo im się gdzieś odgrzebać dyalog jeden lub drugi nieodpowiedni dzisiejszym wymaganiom sztuki — grzeszący może nienaturalnością lub naciąganiem myśli i pojęć, i argumentując w sposób Eneasza: „*ex uno disce omnes*“ wyszydząją wszystkie. Staralem się przekonać, czy mają słuszość, wyszukałem kilkanaście takich dyalogów drukowanych i w rękopisach i wyznam sumiennie, że nic nie dostrzegłem w nich, coby na szykanę lub śmiech politywania zasługiwało. Już-to względem Jezuitów jesteśmy sędziami niesprawdliwymi. Wiek cały jeden upłynął od chwili kasaty — my przez ten wiek postąpiliśmy nie w umiejętnościach filozoficznych, bo te u nas leżą odłogiem, ale za to tem więcej w erudycyi, naukach przyrodzonych i literaturze narodowej, która dopiero, sumiennie mówiąc od Mickiewicza byt swój rozpoczyna — i według tych, erudycyą i wiedzą całego stulecia zubożonych i że tak powiem, rozwielnionych pojęć i wyrobionych zasad sądzimy i wyrokujemy, a dodać jeszcze muszę, z uprzedzeniem i pewną niechęcią, o wszystkim, co się odnosi do Jezuitów. Dyalogi dawne jezuickie, gdyby je dziś przedstawiano na scenie, nie przechodziłyby granic mierności, nie zawierałyby jednak nic śmiesznego w sobie — ale przed stu i dalej laty odegrane, zasługiwały w swym czasie na uznanie i pochwałę. Szkolne dyalogi nie były to tylko lekkie, dowcikujące rozprawy, wyrachowane na chwilowe rozweselenie gości, ale przedmiotem ich stawały się także kwestye poważne, sięgające moralnego i obywatelskiego życia. Panowie literaci przesadne roszeją wymagania — z drobnych

kogo i że jedynem jego zadaniem jest wyrobienie dobrego smaku (obacz *Przeгляд Polski* r. 1866), że mówię, ten gazeciarski pisarz radzi matkom, aby swe podrosłe córki na niektóre sztuki nie prowadziły do teatru, i tąż samą radę daje młodym mężatkom. Niestety; rada jego jest może za późna — bo najohydniejsze sztuki jak „Piękna Helena“ ściągają najliczniejszą publiczność.

<sup>1)</sup> W dramacie historycznym p. Szujskiego: Władysław IV pod Smoleńskiem.

chłopców i podrostków chcą stworzyć aktorów takich, jak ich dzisiaj pojmujemy. Otóż Jezuici właśnie tego nie chcieli. Nie chcieli, mówię, uczniów swoich przetwarzać na aktorów, i to była jedna z przyczyn, dla czego przekładali dyalogi nad komedye i dramatyczne sztuki nawet swoich własnych pisarzy. W każdej komedyi musi być śmieszek — w dramacie i tragedyi obok znacznych, szlachetnych charakterów, występują przewrotne, podstępne, podle umysły. Role rozdawane być powinny stosownie do naturalnego uzdolnienia i wrodzonych skłonności, mianowicie rola dowcipnisia. Młody chłopiec pragnąc swą rolę odegrać wybornie, musi się przejąć duchem swej roli, uosobnić się w onego błazna lub zdrajcę — dzieje się więc łatwo, że giętki, wrażliwy umysł chłopca przyswaja sobie na zawsze, zamienia w drugą swoją naturę te narowy i wady, które przyjął na siebie chwilowo na scenie. Doświadczenie nauczyło, że podobne obawy nie są bezzasadne. Dla tego i teraz nawet, przy takim rozwoju dramatycznej poezyi, w pensyonatach jezuitkich napotkasz na publicznym popisie częściej dyalogi i operę, niżeli komedya lub dramat. Miałem sposobność być obecnym na takim akcie szkolnym; młodzi uczniowie występowali z deklamacyą poetów francuzkich i polskich; starsi rozprawiali nad jednym przedmiotem w kilku językach z tą przytomnością umysłu, precyzyą wyrażen i jednością myśli, która u wszystkich ludzi naukowych oklask zyskuje. Mówiono mi, że to były po większej części ich własne prace.

W pokrewieństwie z dyalogami stoją tak zwane „sądy prawne“ gdzie według p. Mecherzyńskiego<sup>1)</sup> w wytoczonym publicznie sporze uczyła się młodzież występować dwustronnie — prawdy i fałszu zarówno bronić — nie zasadnemi dowody, bo te prawdziwie samej służą, ani przekonywującą wymową, która z niej tylko czerpie siłę, lecz dyalektyką sztuczną, sofistyczną, podstępną... W takich to niewczesnych ćwiczeniach i harcach zaprawiały się młode umysły do wykrętów prawnych, mnożąc liczne zastępy owych palestransów kłótliwych, pieniaczy trybunalskich i polemicznych żaków, którzy swemi matactwami i subtelnymi spory zabijali prawdę i sprawiedliwość.“ Odpowiadam, nie winą Jezuitów, ale winą elastycznej konstytucyi polskiej, nie przez Jezuitów pisanej, gdzie na każde prawo znalazł się wybieg i furтка w prawie innem, gdzie nieraz wprost sprzeczne znajdowały się paragrafy — winą, powiadam tej niedokładnej, błędnej konstytucyi polskiej stało się, że trybunały polskie obsiadła szarańcza „palestrantów, pieniaczów i żaków“. Jezuici, ludzie praktyczni, uczyli tak, aby młodzież przysposobić do publicznego zawodu, mającego w wolnej Rzpltej wielką doniosłość i znaczenie. W tym celu wprowadzili do szkół „sądy prawne“. Argumentowano *pro i contra* — ztąd wynika, że jedna część wywodów, tj. *contra* musiała być sofizmatem — ale wcale nie wynika, że wywody *pro* były sofizmatami, owszem te musiały mieć podstawę w prawdzie. Dyskusya nad jednym przedmiotem rozwija umysł, bo zmusza do głębszego myślenia i badania rzeczy aż

<sup>1)</sup> Historia wymowy w Polsce. T. III. str. 24—25.

do dna. To jest prawdą dla wszystkich i po wszystkie czasy, dla czegoż tylko w szkołach jezuickich miałyby się stać fałszem i szkodzić duchowo i moralnie?

Powtarzam raz jeszcze, Jezuici nie żywili się nigdy utopią lub ideałami. Byli to ludzie najbardziej pozytywni i realni — w szkołach więc swoich nie gonili za dzisiejszą uczonością, gubiącą się w na nieprzydatnych rozprawach filologicznych, lub przewidzeniach niemieckich filozofów; ani spodziewali się, że można żądać od nich, owszem policzyć im za ciężką winę że nieedukowali w duchu „nad stan i wiek podniesionym“ jak chce p. Szujski (III. 245) lecz stósownie do składu rządu państwa, w którym zostawali, dawali swym uczniom odpowiednią edukację, uważając przedewszystkiem na moralną cnotę, która wszędzie a szczególnie w takiej Rzpltej jak polska, była warunkiem politycznego bytu.

Otóż w rachubę gospodarstwa narodowego wchodziła „palestra“, młodzież szlachecka tłumnie się do niej rzuciła, bo ta otwierała pole do poselstw na sejmy i trybunały. Na akademii jednak krakowskiej i wileńskiej nie uczono prawa polskiego — znajomość jego czerpać należało z prywatnego studyum i praktyki u starego deputata trybunalskiego. Gimnazjum było tu jedyną szkołą przygotowawczą. Jezuici więc uwzględniając tą okoliczność, wprowadzili do klas filozofii rodzaj prolegomenów prawniczych „sądy prawne“ z kąd uczeń mógł powziąć dość jasne pojęcie o procedurze sądowej, tyle potrzebne obywatelowi Rzpltej. Miasto więc nagany, należy się im uznanie rzetelnej zasługi. Że wielu użyło tej nauki na pieniactwo, to wina nadużycia a nie Jezuitów. Wszakże dzisiaj każdy widzi jasno jak na dłoni, że obecny kierunek wychowania publicznego jest materyalny, antykatolicki a nawet antynarodowy; że podczas gdy filozofia i literatury klasyczne leżą odłogiem, całe tłumy garną się do studyów politechnicznych — a owocem tego kierunku nauk, jest materyalizm, ostudzenie serca, brak szlachetnych uczuć, sobkostwo i zamknięcie, zasklepienie się w samym sobie. Zdrowy rozum, wiara i moralność potępić musi taki kierunek, a jednak na tych, którzy te nauki pielęgnują, nie rzucamy kłątwy zbrodni i demoralizacyi, ani ich obwiniamy o zabójstwo ducha, bo dobrze umiemy rozróżnić, że nie studia politechniczne wprowadziły na świat owo spoganiecie pojęć, i że tak powiem, zmateryalizowanie ducha, ale nadużycie ich. Chciejmyż więc być równie sprawiedliwymi i dla Jezuitów. Godna uwagi, że coś podobnego jak sądy prawne, praktykowali Pijarzy w swych szkołach. Były to co roku odprawiane w kościele sejmiki na wzór sejmików prowincjonalnych. Pisze o tem Józef Łukaszewicz w historii szkół, tom I, str. 296. Pijarom nie wzięto jednak tego za złe.

Co do „zaciekłości dysput“ i wszystkich zarzutów wymierzonych na dawną scholastykę, niech mi będzie wolno przytoczyć w obronie słowa samego p. Szujskiego, napisane w kilka lat później niż „Dzieje narodu“. „Protestanczy Niemcy postarali się już o piękne dzieła, traktujące dzieje filozofii scholastycznej, dzieła, które myśliciele teologicznych średnich wieków uwolniły od wielu zarzutów i oceniły ich

ducha; u nas nic jeszcze pod tym względem nie zrobiono“<sup>1)</sup>. Dzięki więc studjom protestanckim „myśliciele teologiczni średnich wieków“ uwolnieni zostali „od wielu zarzutów“; spodziewać się należy, że gdy studia te dalej poprowadzone zostaną: nastąpi uwolnienie od wszystkich zarzutów. Ale to bardzo smutna, że „u nas nic jeszcze pod tym względem nie zrobiono“ a mimo to, nie wyjąwszy p. Szujskiego, spotwarzono i potępiano scholastykę a z nią i Jezuitów<sup>2)</sup>. Mamy tu „*confitentem reum*“ „nie traktowano dziejów filozofii scholastycznej“ a przecie je obrzucano kalem, wybito na nich piętno obskurantyzmu i zabójstwa myśli.

Jezuici nie byli twórcami ani filozofii ani teologii scholastycznej. Zastali oni ją na wszystkich wszechnicach i liceach, a zacząwszy od samego zakonodawcy św. Ignacego, aż po dziś dzień, wszyscy Jezuici tylko scholastycznej teologii i filozofii uczyli się i nauczali drugich. W dziedzinie tych nauk, scholastyczną metodą postępując, wydali autorów europejskiej sławy, jak ów Suarez, Lugo, Pataviusz, i dni naszych Peronne, Francellin. Gury, autorowie, według których dzisiaj jeszcze w Austrii, Prusiech i Francji teologię wykładają. Protestancy pisarze rehabilitując sławę dawnej scholastyki, obronili tem samem dysputy, które są przedmiotem szyderstw i zgorzienia literatów polskich, a które przecie wydała i rozwinęła metoda scholastyczna. Spodziewam się, że literaci nasi przywykli od dawna polegać na studiach i zdaniach protestanckich Niemców, uczynią to i tą razą, nim

<sup>1)</sup> *Przegląd Polski* 1867. Wrzesień, str. 468.

<sup>2)</sup> Podobno nikt głupiej nie wyraził się o scholastyce jak Maciejowski, nazywając ją „okrawkami mądrości, którą sobie rozum ludzki z różnych zszarżanych starożytnej literatury płatów mozolnie pozszywał“. Piśm. pol. tom II. str. 37. Równie jednostronnie ocenił scholastykę Wiśniewski w t. IV swej historii literatury. Nie piszę apologii scholastyki, widzę jednak potrzebę uczy-nienia kilka uwag. Scholastyka jest sposób traktowania filozoficznych i teologicznych nauk według pewnych stałych loicznych form i prawideł. Dla tego, że tego sposobu trzymano się w szkołach, nazwano metodę: scholastyką. Początek scholastyki już XI wieku sięga, ale ustalił ją dopiero św. Tomasz z Akwinu. Zasadą nigdy niezmienną scholastyki była wiara górująca nad rozumem. W rzeczach wiary dogmatem już *à priori* określonych, nie wolno było rozumowi rozierać istnienie dogmatu, ale przyjąwszy dogmat za niezbitcie prawdziwy, wolno było podać go analizie rozumu, godzić z pojęciami przyrodzonymi, tłumaczyć i wyjaśniać. Takowe podporządkowanie rozumu pod wiarę nie uwłacza bynajmniej rozumowi. Gdyż wiara przechodząc nasz rozum, nie jest jednak przeciwną rozumowi. Wszak i w codziennem nawet życiu wiele jest rzeczy, których nie pojmujemy, które więc są ponad rozum, a przez to nie tracimy nic na swej godności. W prawdach przyrodzonych wolno było rozumowi wybiegać na wszystkie strony, chwycić się jakichbądź systemów, byle te nie stały w sprzeczności z dogmatem wiary.

Teologiczne badania były osią zwrótną scholastyki; filozofia uważaną była jako umiejętność przygotowawcza do teologicznych studyów; chociaż uważano ją także za szkołę myślenia. Wieki XII i XIII stanowią złotą erę scho-

sami wezmą się kiedyś do zbadania „dziejów filozofii scholastycznej“. Otóż w myśl metody scholastyki, dysputy teologiczne nie miały innego celu, jak znaną z kąd inąd i dowiedzioną prawdę skonstatować i utwierdzić — wykazać że na silnych zbudowana podwalinach i żadne rozumy lub zlej wiary wykrety obalić jej nie zdołają. Filozoficznym zaś dysputom wytknięto za cel rozwinięcie umysłu, wyjaśnienie pojęć i przekonañ. Była to szkoła ćwiczenia i wprawy dla młodych przyjaciół mądrości. Żadną zaś miarą nie wchodziło w cel i zadanie dysputy: wynalezienie nowej prawdy, lub przekonanie o niej drugich.

Dopiero różnowierstwo nadało dysputom inne znaczenie. Za pomocą dysputy wykryć chciano prawdę i narzucić ją stronie przeciwnej. rozprawiano tedy i dysputowano nad dogmatami wiary — nad najistotniejszymi zasadami katolicyzmu i Kościoła. Prawda, że różnowiercy unikali dysput „w formie“ czyli scholastycznych dysput, bo nierównie wygodniej było im bronić swych teoryj po za ścisłą formą scholastyczną, gdzie nic wtrącić nie wyrzucić nie można, gdzie raz uczyniwszy krok na przód, cofać się bez porażki nie podobna — ale katolicy wywołani do tej bezowocnej walki, nie mogli się zgodzić na uczzone rozmowy bez jasności i precyzyi scholastycznej. Każdy bowiem rozumny przyzna, że całą godzinę można rozprawiać, a potem kiedy strona przeciwna, oparta na tem co się powiedziało, swoje kontrargumenta wywodzić pocznie, zaprzeczyć swoim własnym słowom lub dać im tłumaczenie i sens inny i tak dysputę w nieskonczoność prowadzić. Różnowiercy pierwsi rzucili rękawicę do owej szermierki słownej. Podnieśli ją katolicy w nadziei, że bracia przeciwnego obozu

lastyki. Później zaczęła się przeradzać w niepożyteczne, zbyt drobnostkowe zaciekanie. Pochodziło to ztąd głównie, że do dzieł tak znakomych autorów jak św. Tomasz z Akwienu, Skotus, Albert W. zaczęto pisać całe foliały komentarzy.

My Polacy otrzymaliśmy od zachodu scholastykę już w jej przekwicie, bo już na początku XV wieku. Mimo to z całym wytężeniem sił i niezrównanem zamięłowaniem pracowali na tem polu mistrzowie krakowskiej akademii, trzymając się Tomasza św. Miejsce scholastyki zajęła na Zachodzie literatura klasyczna, która u nas dopiero z XVI wiekiem zakwitła. Scholastyka poszła torem wszystkich dzieł ludzkich, miała chwile prawdziwej wielkości i potęgi umysłowej, ale w końcu przeżyła się i zdrobniała. Z tej to epoki upadku, nie przeczę wcale, że zachowały się ślady niepotrzebnych a czasem śmiesznych zaciekań. Ale zawsze zostało z niej jądro dobrego. Nie trawiono już jak w XIII wieku lat 7 lub 10 na samej loice, ale zdrowszej metody wykładania teologicznych umiejętności nie znaleziono dotąd. A ponieważ filozofią uważano jako przygotowawczą naukę, przeto i do niej system scholastyki zastosowano. Jezuici Belarmin, Suarez, Lugo, Patawiusz etc. spisali wiele tomów in folio, poświęconych filozofii i teologii. Gdyby panowie literaci rozczytali się w tych foliałach, z wielkim pośpiechem a nie małym wstydem przed sanymi sobą zniesiliby kławę, rzuconą tak bezmyślnie i bezwiednie na scholastykę jezuicką; tymczasem radzę im przeczytać rozprawę dzielnego pisarza o metodzie scholastycznej w *Przeglądzie Lwowskim* 1871 umieszczoną.



blądzą w dobrej wierze, że się więc dadzą sprowadzić na drogę katolickiej prawdy, skoro ją za pomocą dysputy w jaśniejszym świetle oglądają. Niebawem przekonano się o pomyłce.

Zakon Jezuitów właśnie wtenczas powstał, kiedy różnowierstwo w najlepsze górę brało. Postępy jego stały się dla katolików zastraszającymi — wnet jednak napotkały na walną tamę, na Jezuitów. Mężowie ci, szermierząc bronią przeciwników, przyjąć musieli obok kaznodziejstwa i edukacji także dysputy za rodzaj broni. Była to broń li tylko odporna. Jezuici wiedzieli, że odeprzeć nią wroga można, ale nie zwyciężyć. Nawet kiedy sami wyzywali na dysputy, działali odpornie — bo chcieli dowieść heretykom, że pogrożki ich są blahe — odpierali więc ich uroszczenia że prawda po ich stronie, niewczyli ich przechwałki, że: skoroby tylko ze stroną katolicką się zmierzyl, odnieśli by niechybnie palmę zwycięstwa.

Kiedy więc Jezuici na arenę wystąpili, dysputy scholastyczne nabrały więcej interesu i więcej wagi. Nie były to już próby i ćwiczenia młodych umysłów, ale była to walka, która rozstrzygnąć miała, po czyjej stronie prawda, kto uznać swój błąd, kto komu panować powinien, Rzymianie czy Albanie.

Do tej walki namiętnej bo religijnej i właśnie dla tego nie rozegranej, stawali nie tylko Jezuici i duchowni ale i ludzie świeccy. Rozprawiano przecie długie tygodnie na sejmach piotrkowskich nad rzeczami wiary, miasto zaradzić niebezpieczeństwom grożącym od Turka i Moskala. To samo działo się na sejmach cesarstwa w Wormacyi, Spirze, Ratsybonie i Angsburgu — i na głośnym zjeździe w Poissy. Anomalia ta, praktykowana już zresztą w cesarstwie wschodniem, nie może przecie być policzoną na karb Jezuitów, a jednak dzięki tym okolicznościom, które nie oni wywołali, Jezuici uczyć szkół, mieli powinność i ścisły obowiązek obznajomienia swoich uczniów z tą bronią odporną. W szkole dysputowano dla tego, ażeby po za szkołą stanąć wyćwiczonym do walki, jeźliby z przeciwnej strony kto do niej wezwał. W takim razie nie nauczyć swych uczniów jak władać bronią dyalektyki, byłoby istną zdradą religijną, bo jak mówię, różnowiercy pierwsi rzucali rękawicę, a kto jej nie podniósł, tego już tem samem mieli za pokonanego.

Za Zygmunta III i Władysława IV odbyło się kilka dysput głośnych między Jezuitami i różnowiercami. Każda strona została przy swoim to prawda, ale Jezuici zawsze wychodzili ręką zbrojną, akatolicy zawsze zwyciężani, albo widząc bliską przegraną zrywali dysputę lub też rzucali się do potwarzy i obelg<sup>1)</sup>. Zauważono i to, że podczas gdy strona katolicka, w ogóle mówiąc, zachowała przyna-

<sup>1)</sup> Nie można jednak, powiedzieć aby dysputy te zostały całkiem bez pożytku. Wielu, pragnących szczerze poznać po czyjej stronie prawda, aby do niej przystać, nawracali się dysputą. Tak np. Jana Karola Chodkiewicza, bohatera Kirholmu, nawróciła dysputa Stanisława Grodzickigo, jak świadczy Rostowski.

leżną godność i umiarkowanie, to strona przeciwna odznaczała się gwałtownością a często gminnością.

Zapasy z różniewierstwem skończyły się zwycięstwem katolicyzmu. Dysputy straciły już teraz swój interes i swoją ważność, a zużyte i nadużyte stały się nudne i obudzały rodzaj wstrętu i niechęci. Trudno tedy było nauczycielom przywrócić w szkole dawny urok jaki był przywiązany do pierwotnego celu scholastycznych dysput. Z tej już przyczyny dysputy szkolne nie mogły się odbywać z tą żywością i zajęciem jak w XV i na początku XVI wieku. Do tego jak po każdej długiej wyteżonej walce, tak po walkach religijnych namiętnie i wiek cały prowadzonych, nastąpiło powszechne umysłów otrętwienie, stagnacja i bezczynność naukowa w Polsce zarówno jak w całym zachodzie. Stracono więc ochotę do rozbiierania kwestyi, których rozwiązanie całej potęgi ducha i świeżości umysłu wymaga, a które nie miały już więcej ani powabu ani korzyści nie przynosiły. Pominięte zatem zostały kwestye ważne religijne, jako przedmiot godny dysputy, a natomiast rozprawiano nad kwestyami podrzędnymi, chociaż może subtelniejszymi jak tamte. Nie działo się to dla tego, jak chcą w nas wmówić panowie literaci, że Jezuita lękali się, aby snać uczniowie ich rozprawiając nad rzeczami wiary nie zheretyczeli — ale dla tego, że dysputy w podobnych kwestyach już przesyciły wszystkich umysły, nikogo już więcej nie obchodziły, bo wszyscy już wiedzieli po czyjej stronie prawda, a znów, brać rzeczy wiary tylekroć na dysputach sponiewierane, za przedmiot próby i ćwiczenia, poczytywano sobie za skrupuł<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ja się tu wydziwić nie mogę krótkiemu rozumowi owych miłościwych panów. Mówią: Jezuita obawiali się poruszać kwestye wiary. Pan Szujski, (t. III str. 245) zarzuca im, „że nużyli umysł ćwiczeniami duchownemi i subtelnościami teologii, chroniąc ich (uczniów) przedewszystkiem od wszelkiej wiedzy szerszej, wszechstronniejszej, która zdaniem nauczycieli mogła tylko zaprowadzać na „bezdroża“, tj. aby snać uczniowie nie szperali w dogmatach.“ Inni znowu mówią: Jezuita zaniechali kwestyj religijnych, bo pamiętali, ile im te kwestye narobiły kłopotu (zarzut Wójcickiego). Cóż więc — czy na to filozofia aby nauczyć się szperać w dogmatach? Winszuję tym panom, jeżli w tym celu słuchali prelekcji filozofów Niemców — ale żal mi narodu, który za nauczycieli ma ludzi uczonych na to, aby ten naród zachwiali w wierze. Jezuita swojej filozofii takiego celu wytknąć nie mogli. Nie chcieli zwałić na siebie dawnego kłopotu. Bardzo słusznie, bo ten kłopot był w drugiej połowie XVII wieku nie potrzebny — a któż rozsądny rzuca sam siebie w niepotrzebny kłopot. Panowie literaci wspominając z przycinkiem o tym kłopotcie, żałują widać bardzo, że Jezuita z tego kłopotu wyszli zwycięzko i z chwałą; pozna każdy jaka bezstronność w ich sądach.

W zarzutach tych jest jeszcze wielka nieloiczność. W XVI i pierwszej połowie XVII wieku, Jezuita nie obawiali się zheretyczenia swych uczniów ucząc ich filozofii — czemuż mieli się tego obawiać w drugiej połowie XVII wieku i dalej? Czy właśnie nie przez szkoły, w których z całą gorliwością filozofią scholastyczną wykładali, zwrócili najwięcej na drogę prawdy katolickiej? Czy pokolenie, które już pod Władysławem IV okazało się przeważnie

Ztąd jednak, że nie rozprawiano w szkołach nad rzeczami wiary nie wynika wcale, że staczano namiętne spory: „*de lana caprina*“; ja wręcz temu zaprzeczam i podam powody zaprzeczania.

Dysputy jako ćwiczenia szkolne nie mogły mieć innego przedmiotu, co jak tylko to, co na prelekcjach wykładano. W prelekcjach zaś, nawet w ostatnich latach istnienia Jezuitów nie dotykano innych pytań, jak ściśle filozoficznych kwestyj poważnych lubo nie dotyczących się bezpośrednio wiary. I tak z loiki wykładano znaczenie i różnicę pojęć i zdań (*nationem et genera idearum et iudiciorum*), prawa określenia i podziału (*leges definitionis et divisionis*) zasady rozumowania i różne formy argumentowania (*leges ratio cini et species argumentationum*). nareszcie samą teorię dysputy. Wykład ten, jak każdy widzi przygotowawczy, trwał sześć tygodni — o dysputach tu mowy być nie może, bo to były pierwsze początki. Potem następował wykład pojęcia fałszu i prawdy (*de falso et vero*) i oznaczenie kryteriów prawdy (*de criteriis veritatis*). Kurs loiki, który nie trwał dłużej jak pięć miesięcy, zamykał wykłady objaśniające różnicę między wiedzą a wiarą, mniemaniem a sądem, błędem a fałszem. Każdy przyznać musi, że nie były to wiadomości rozległe, ale nie były też czcze słowa o drobnostki „*de lana caprina*“<sup>1)</sup>. O tych więc kryteriach i powinikach prawdy dysputowali między sobą loicy.

Metafizyka dzieliła się według metody scholastycznej na cztery części.

Ontologią (*die Lehre vom sein*), kosmologią (nauka o świecie), psychologią (nauka o duszy) i teologią naturalną (nauka o Bogu, o ile Jego istnienie i własności Jego z rozumu wyprowadzone być mogą). W pierwszej części (ontologii) wykładano pierwsze zasady czyli pryncypia wszelkich dowodów (*principia demonstrationis*)<sup>2)</sup> — dalej własności i gatunki istot najpowszechniejsze, nareszcie pojęcia podmiotowości. przypadłości, siły, początku i przyczyny, przeszłości, miejsca, czasu, ruchu itd.<sup>3)</sup>. Ontologia wraz z loiką zapełniały pierwszy rok filozofii. Znowu każdy przyzna, że rozprawy nad przedmiotowością,

katolickiem, nie wyszło w wielkiej części z edukacji jezuickiej? Snać rozbieganie ważnych kwestyj religijnych w szkole nie prowadziło do herezy, ale od niej zwracało i przed nią zachowywało — bo prawda nie lęka się żadnej dyalektyki.

Jeżeli więc od drugiej połowy XVIII wieku zaniechano w szkołach dysput w przedmiotach wiary, to zapewne nie z obawy herezy, ale dla przyczyn które wskazałem.

<sup>1)</sup> *Rat. stud. Reg. prof. phil. reg. 15—20.*

<sup>2)</sup> Zwykle przyjmowano za takie pryncypium: „*Idem non potest simul esse et non esse*, — albo *Quod est, est*, które dobrze należy rozróżnić od pryncypium Hegla: „co jest, jest rozumnie“.

<sup>3)</sup> *In prima parte quae ontologia dicitur, explicantur prima demonstrationis principia, proprietates et species entium maxime universales, attributa modi, relationes etc. substantia, accidens, vis: principia et causae; spatium, locus, duratio, tempus, motus etc.*

przyczynami i skutkami, nad pojęciami najbardziej powszechnymi a najmniej jasnymi, przestrzenią, miejscem, czasem, ruchem itd. nie są częzą gadaniną i sporem „*de lana caprina*“.

W drugiej części (kosmologii) rozprawiano o początku świata, o ciałach i ich pierwiastkach, o doskonałości (względnej) świata, o jego naturze i prawach, o możebności skutków nadnaturalnych czyli cudów i o znamionach czyli kryteriach prawdziwego cudu, nie sprowadzając wszelako tych kwestyj ani na pole objawienia, ani do kwestyj czysto-fizycznych<sup>1)</sup>.

Do trzeciej części (psychologia) należy wykład o naturze duszy ludzkiej i jej władzach (*de essentia animae tum ejusque facultatibus*.) Ztąd jest tam mowa o sensacyach, o wyobraźni i pamięci, o naturze rozumu i rozsądku, e pożądliwościach, o mimowoli (*de spontaneo*), i wolnej woli ludzkiej. Wykazuje się różnica ducha od ciała, pojedynczość, duchowość i nieśmiertelność duszy. Tu także dotknięte są różne opinie filozofów o siedzibie duszy w ciele ludzkim, o jej komercyum czyli spółkowaniu z ciałem, o początku i naturze pojęć, o duszy zwierząt<sup>2)</sup>.

W ostatniej nareszcie części (teologia naturalis) dowodzi się z rozumu, istnienie Boga, jaka jego natura, jakie własności i przymioty<sup>3)</sup>. Kosmologia, psychologia i teologia naturalna, zapelniały kursa drugiego roku filozofii.

Znow po trzeci raz każdy przyznać mi musi, że dysputy o tak ważnych przedmiotach nie są sprzeczkami *de lana caprina*; tem mniej mogą być uważane za jeden sposób więcej roznamiętniania i fanatyzowania młodych umysłów. Prawda — pojęcia te są nieraz oderwane systemata przez filozofów postawione, które obalić lub ugruntować było potrzeba<sup>4)</sup>, nie od razu są dla każdego jasne — nie przeto jednak wolno nazwać te dysputy sprzeczkami o głupie nic, piętnować je nazwą obskurantyzmu, oglupienia lub demoralizacyi.

W chwilach zapasów religijnych, Jezuici sprowadzali te kwestye tak blisko dotykające religjā, z pola czysto rozumowego na pole religijne o tyle, że w dowodach swoich posługiwali się nietylko samym rozumem ale i objawieniem. Nie było to nadużyciem filozofii, bo filozofia w myśl instytutu zakonu, i w myśl Kościoła przysługiwać się miała nadewszystko teologii. Ale skoro spory religijne ucichły, skoro ustał cel, ustala też i metoda pożyczenia w dziedzinie filozofii dowo-

<sup>1)</sup> Dosłowne prawie tłumaczenie z *Rat. stud. reg. proph. phil. reg. 22.*

<sup>2)</sup> Tamże *reg. 23.*

<sup>3)</sup> Tamże *reg. 24.*

<sup>4)</sup> N. p. sławny system Arystotelesa o sposobie, jak się pojęcia nasze n. p. pojęcia ojca, matki, formują. Arystoteles przypuszcza dwie władze w rozumie ludzkim — jedną, którą on zowie *intellectus passivus* odbiera wrażenia od rzeczy zmysłowych i przekazuje je władzy drugiej zwaną *intellectus agens*. Ta władza z odebranych wrażeń jest zdolna utworzyć sobie ideę. Jest to systema subtelne, a przecie kwestya, jak powstają w głowie najprostsze pojęcia, jest godną zastanowienia i wcale nie łatwą.

dów z objawienia: filozofia a razem z nią dysputa wróciła w swe dawne granice. Tyle o dysputach.

Podnoszę raz jeszcze opuszczony wątek krytycznych uwag nad moralną stroną wychowania Jezuickiego. W obec tak głęboko zakorzenionej opinii przeciwnej, czuję całą ważność i potrzebę wykazania moralnej wyższości szkół Jezuickich nad obecną publiczną edukacją. — W przededniu kasaty zakonu, najznakomitsi talentem i nauką biskupi polscy, pisali energiczne listy do Ojca św. Klemensa XIII<sup>1)</sup> przedstawiając wielostronne zasługi i cnoty Ojców Societatis; a między tymi pochwałami są słowa Kajetana Soltyka, biskupa krakowskiego: „Idąc za przykładem swych przodków, kształcą młodzież w naukach boskich i ludzkich, z wielkiem publicznem dobrem.“

Już zaś przyzna mi każdy, że tacy mężowie jak Soltyk, Jędrzej Załuski, Wacław Sierakowski, Michał Zienkiewicz, kładąc wyraźny nacisk na zasługi zakonu w wychowaniu publicznem, ani sami mogli być oszukani, ani chcieli Ojca św. oszukać. Lecz przypatrzmy się temu przedmiotowi bliżej.

W edukacji Jezuickiej uderzały dwie rzeczy wielkie, ważne i święte prawie: troskliwość o moralne prowadzenie się uczniów, i poświęcenie ze strony nauczycieli bez granic; dwie rzeczy, które w dzisiejszej edukacji zaniębane i zapomniane, niezmiernie złe skutki za sobą pociągnęły; bo luźność zasad i obyczajów, a z tą brak charakteru i samolubstwo w życiu społecznem, lekkomyślność i porywczosć w rozwiązaniu kwestyi politycznych.

Wychowanie młodzieży w oczach Jezuitów nie było jednym sposobem więcej zarobienia sobie na chleb, lub rodzajem jakowegoś zysku i dochodu. Stawiali oni edukacją dzieci na równi z kazaniem, misyami i pracami kapłańskimi, równą do niej jak do tych przywiązywali wagę<sup>2)</sup>. Bo edukacja młodzieży równie jak kaznodziejstwo i apostołskie prace, prowadzi Jezuitów do ich celu: t. j. do chwały Bożej i zbawienia bliźnich. I ten jest cel edukacji Jezuickiej „prowadzić młode umysły, przez nauki do poznania Boga“<sup>3)</sup>. Cel wzniosły i szlachetny i właściwy wszystkim naukom. Szukać wiedzy dla próżnej chwały lub dla tej satysfakcyi, jaką z sobą każda nowo nabyta wiedza przynosi — to rzecz pogańska. Człowiek stworzony dla Boga i nieba, wszystkie więc czynności, prace, usiłowania wyteżenia jego fizyczne i umysłowe wprost lub pośrednio odnosić się powinny do Boga i nieba jako ostatecznego końca i celu.

Dla tego instytut poleca na wielu miejscach i w wyrazach naj-

<sup>1)</sup> *Clement XIII. et Clement XIV. par le P. Ravignan volume supplémentaire pag. 169—179.*

<sup>2)</sup> *„Cum ex primariis Societatis nostrae ministeriis unum sit, omnes disciplinas Instituto nostro congruentes ita proximis tradere, ut inde ad Conditionis ac Redemptoris nostri cognitionem atque amorem excitentur: omni... stud. Rat. reg. Prov.*

<sup>3)</sup> *Vide ibid.*

dobitniejszych, aby rektorowie szkół i profesorowie przedewszystkiem starali się o religijność i gruntowną cnotę<sup>1)</sup>.

W tym celu zaprowadzone były między młodzieżą szkolną pewne stałe praktyki religijne, dalekie od bigoteryi i faryzajzmu, i przestrzegany troskliwie dozór prowadzenia się uczniów nietylko w szkole, ale i po za szkołą. Obowiązywano przedewszystkiem młodzież do częstej spowiedzi t. j. raz jeden na miesiąc<sup>2)</sup>, tak jednak, że wolno było i częściej przystępować. Każdego dnia po skończonej rannej szkole — wszyscy, studenci i profesorowie udawali się do kościoła na wysłuchanie mszy świętej. Prócz niedzielnej nauki bywali uczniowie na poobiednim nabożeństwie i kazaniu w święta Patronów szkolnych. Raz do roku zwykle w wielkim tygodniu przez trzy dni dawano im ćwiczenia duchowne<sup>3)</sup>. Ojcowie starali się wpoić w młodzież serdeczne a szczerze nabożeństwo do N. Panny, a najskuteczniejszym środkiem do tego okazało się „Stowarzyszenie Maryi“ *Sodalitas Mariana*<sup>4)</sup>.

Te były ważniejsze praktyki religijne. Jezuiti innych nie znali ani do szkół swych nie wprowadzali — ale wykładając przedmioty szkolne

<sup>1)</sup> *Rat. stud. In illud maxime incumbat ut post religiosarum et solidarum virtutum curam quae praecipua esse debet.... Reg. 1. Rat. Praefecti munus est.... ut qui eas (scholas nostras) frequentant quam maxime in vitae probitate.... proficiant. Reg. 1. Praef. stud. Adolescentes qui in societatis disciplinam traditi sunt, sic Magister instituat, ut una cum libris mores etiam christianis dignos in primis hauriant. Reg. 1. Com. Prof.*

<sup>2)</sup> O ważności częstej spowiedzi w kościele katolickim, nie tu miejsce abym rozprawiał, wiedzą o tem dobrze gorliwi katolicy — a oziębłych odsyłam do dzieł i dziełek traktujących w tym przedmiocie.

*Rat. stud. regulae externorum auditorum Societatis reg. 2.*

<sup>3)</sup> Zwyczaj ten zachowany jeszcze dotąd w niektórych gimnazyach w Galicyi — cóż kiedy księża katecheci nie mają jezuitkiej tradycyi dawania ćwiczeń św. Ignacego.

<sup>4)</sup> Cel *Sodalitatis* był podwójny: czczenie N. P. przez życie najbardziej zbliżone do niepokalanego Jej żywota i rozszerzenie nabożeństwa do N. P. między kolegami. *Sodales* odbywali wspólne modlitwy i wyznaczali sobie pewne praktyki czczenia N. Panny, nadewszystko jednak odznaczać się musieli czystością obyczajów i pilnością w naukach. *Sodalitas* nie ustawała ze szkołą, ale trwała aż do deski grobowej. W *Dziadach* Mickiewicza, w wierszach Pola i Syrokomli napotykamy *Sodalistów* Maryi, są to postacie zawsze wybitne, pełne znaczenia i silne wiarą. Królowie: jak Zygmunt III, Ferdynand II; książęta: jak Maksymilian bawarski, Conti i Turenne, potomkowie najznakomitszych rodzin w kraju znaleźli się na liście *Sodalistów*, obok synów ubogich mieszczan i rzemieślników. „*Congregatio mariana*“ na cały świat przez Jezuitów rozpostarta, była pierwszym przykładem równości społecznej. Posiedzenia pod przewodnictwem Jezuitów i dwóch asesorów z grona *Sodalistów* wybranych odbywane, przedstawiały najróżnorodniejszą mieszanię imion, rodów i majątków zlaną w prześliczną jedność, potężną siłą pobożności i cnoty. Papież Grzegorz XIII i Benedykt XIV, który sam był *Sodalisem* w szkołach, bułą *Omnipotentis* i *Gloriosae Dominae* zatwierdzili tę kongregacyę

szczególnie klasyków, i historią nie omieszkali żadnej sposobności zwrócenia uwagi uczniów w stronę religijną, wzniesienia w nich gorącej żądzy pobożności i zacnego życia; przez naukę, jak wyraża się instytut prowadzili do poznania Stwórcy i Odkupiciela swego, Jeżeli jest w tem coś zdrożnego, bigoterya lub faryzajzm jakiś — niech każdy osądzi. Wiem, że panowie literaci, innego są zdania. Mówią: owe praktyki religijne, któremi obarczano młodzież, podawały tylko sposobność do maskowania się i schlebiana ojcom profesorom, wyrabiały nie „czystą“ religijność, ale bigoteryą; owymi zaś rozprawami niby od niechcienia, które prowadzić miały przez naukę do Boga, zaszczerpiali Jezuiti nienawiść przeciw akatolikom — fanatyzowali młodzież. Dzisiaj wyrazy: ultramontanizm, jezuityzm i fanatyzm wzięte są za synonima katolicyzmu, a „czysta“ religia, chrześcijańska pobożność i t. p. piękne słowa, to wygodna maska, ilekroć się nie chce wystąpić z otwartą przyłbicą do walki z Kościołem; to nam wytłumaczy znaczenie zarzutu. Że Jezuiti wpajali wstret do apostazy i wszelkiej herezy — temu nietylko nie przeczę, ale twierdzę śmiało, że to było ich obowiązkiem, jako nauczycieli w katolickim państwie i jako kapłanów, aby zaś podzegli do zemsty lub zająć krwawych przeciw dysydentom, temu wręcz zaprzeczam — nikt tego nie dowiódł Jezuitom i dowieść nie potrafi. Zresztą punkt ten sporny wyjaśnionym zostanie dostatecznie na innem miejscu<sup>1)</sup>).

Czułość nad moralnością uczniów przestrzegana była od Jezuitów nierównie troskliwiej, jak dzisiaj. Prefekt szkół rozciągał swoją władzę po za mury szkoły, żadna władza nie mogła się imać studenta, chyba że go sam rektor oddał w jej ręce. Jeżeli uczeń nie mieszkał u swych rodziców, to umieszczonym na stancyi być nie mógł, jak tylko w domu od prefekta szkół uznany za dom moralnie prawy i szlachetny. Zwiedzanie miejsc publicznych, późne a dalekie od miasta spacer, schadzki na karty i huczne wieczory,<sup>2)</sup> wszystko to wzbronione było uczniom. Jeżeli niebacznością rodziców lub niedbałością gospodarzy uczeń przekraczał częściej dyscyplinę szkolną, prefekt pociągał ich do odpowiedzialności, udzielając rodzicom potrzebnych instrukcyj, a gospodarzom grożąc zakazem trzymania uczniów na stancyach. Nieraz dla przekonania się o prowadzeniu uczniów odwiedzał niespodzianie mieszkanka ich, pytał troskliwie samych gospodarzów.

To po za szkołą. W szkole zaś, aby w owym kwadransie przed rozpoczęciem szkoły i krótkiej przerwie międzygodzinowej nie działał się ekscesa, wrzaski i hałasy, które zapewne nieuszlachetniają duszy — wyznaczonym był jeden z księży na wartę kurjatarzową. Piastujący urząd ten przykry i pełen poświęcenia, nazywał się *praefectus atrii*; doglądał nietylko porządku w wyż wspomnianym czasie, ale i podczas prelekcji, aby się uczniowie z klas różnych niepotrzebnie nie zbierali i nie tracili czasu na pogadance, lub i złej mowie; zabraniał wstępu

<sup>1)</sup> Obacz rozdział VI.

<sup>2)</sup> O teatrach mowy tu być nie, może. Teatr dopiero za Stan. Aug. otworzony został w Warszawie.

ludziom niemającym żadnej styczności ze szkołą i dawał odprawę tym, którzy do prefekta szkół, profesorów lub uczniów z interesem przychodzili <sup>1)</sup>).

Ta surowość obyczajów nie podoba się ludziom postępowym, przede wszystkim panom literatom. Owszem wyszukane i przewrotne urzędzeniom tym dają tłumaczenie, a przecie każdy zdrowy rozum pojmie, każde rodzicielskie serce uczuje, jak zbawienne i pożyteczne one były. Jezuiti odebrawszy dzieci do edukacji, brali zarazem na siebie wszystkie obowiązki rodziców. Nie było im wcale obojętne, co to dziecko robi po za szkołą w jakim zostaje otoczeniu i na jakie narażone niebezpieczeństwa. Z tego stanowiska wychodząc, jeżeli rodzice nie mieszkali w miejscu, gdzie były szkoły, Jezuiti przestrzegali pilnie, aby pobyt ich dziecka w obcym domu nie przyprowadził go o szwank moralny. Względy zysku i chwilowej korzyści jaką gospodarze z uczniów ciągną, ustąpić tu musiały względem wyższym duchowym. Żaden roztropny rodzic obrażać się nie mógł, kiedy go ks. prefekt zapytał, gdzie syna zamysła umieścić. Nie przesądono tu ani rodzicielskiej troskliwości, ani roztropności, ale raz prefekt powinien wiedzieć, gdzie podległy jego władzy uczeń zostaje, a drugi raz nie zawsze znają rodzice dobre ręce, którymby syna powierzyć mogli. Wiadomo, że kuratoryce księcia Czartoryskiego na Litwie, a Czackiego na Wołyniu trzymały się ściśle tej kontroli szkolnej, i w tym celu nakazano uczniom chodzić w mundurkach. Po dziś dzień w gimnazyjach pruskich praktykuje się częściowo ten zwyczaj. Dyrektor i katecheta czuwają nad tem, aby uczniowie przyzwoite umieszczenie znaleźli; bywa nawet to, że wśród roku zmienić stancję każą; zwiedzają mieszkania uczniów, kontrolują ich kroki.

W Austrii dzieje się to więcej dla formy, ducha prawdziwej staranności w tem nie widać. Panowie literaci zupełnie inaczej rzeczy te widzą. Monopol stancyi ma zjednać Jezuitom względy rodziców i gospodarzy, a ułatwić kontrolę. Kontrola ta wychodzi na proste szpiegowanie kolegów przez kolegów. — Jakąż podstawę mają te złośliwe przypuszczenia? Gdzież fakta, przykłady, na których się opierają? Nigdzie się ich doczytać nie mogłem. Cóż to za monopol stancyi, jeżeli każdy dom uczciwy i przyzwoity przyjmować mógł studentów na stancją? Czy może tak miało być wtenczas, jak jest dzisiaj — nie-

<sup>1)</sup> Przytaczam dosłownie reguły, które nauczają jak Jezuiti pojmowali obyczajność uczniów.

„*Abstineant omnino a jure jurando, a contumeliis, injuriis, detractio-nibus, mendaciis, a ludis velitis, a locis etiam noxiis, vel a praefecto schola-rum interdictis, denique a rebus omnibus, quae morum honestati adversantur.*“

„*In scholis ne hac illac divagentur; sed in suis quisque subselliis locis-que modeste ac in silentio sibi ac suis rebus intenti sint; neque schola egrediantur nisi facta a magistro exeundi potestate.*“ *Rat. stud. reg. externorum auditorum* 7. 10.

„*Pravas aut etiam suspectas aliorum consuetudines fugiant; cum iis tantummodo versentur, quorum exemplo et consuetudine in litterarum studio virtutumque proficiant.*“ *Ibid.* 11.



oglądając się wiele na korzyści moralne, na niestosowności rażące, umieszczają po gospodach, byle tanio i jeść było dostаточно, i jeszcze jedno — byle promocyę dziecku zapewnić. — Jezuita szpiegowali i uczyli szpiegować<sup>1)</sup>. Czy ci państwo pojmują znaczenie wyrazów, szpieg, szpiegować, szpiegostwo. Wyrazy te zamykają trzy pojęcia: śledzenie cudzych kroków, skrytość śledzenia i zamiar szkodenia owem śledztwem. To trzecie dopiero pojęcie stanowi brzydotę i moralną nikczemność szpiega i szpiegowania. Najczulsza matka śledzi postępy dziecka, a śledzi skrycie, że dziecko nie wie o tem, pyta nieraz drugich, własne drugie dziecko — jestże ta matka szpiegiem? Zastosujmyż to samo do Jezuitów — a znajdziemy odpowiedź na zarzut. Jezuita kochali szczerze, przywiązani byli do młodzieży, bo dla niej czas, talenta i prace swe poświęcali — jeżeli więc śledzili kroki młodzieży, to nie w celu jej szkodenia, ale dla tego, że młodzież potrzebuje dozoru, i tem troskliwszego im jest dojrzałą. Nie przeczę, że w tej troskliwości mógł jeden lub drugi z ojców posunąć się za daleko. Ależ Boże mój, czy Jezuita przestał być człowiekiem, że zmylić nie może? Godziż się jednak błąd jednego kłaść na rachunek całego zgromadzenia i w tem nie błąd, ale ciężką rozmyślną winę wszystkich upatrywać?

Ale powiadają. Karność podobna niema sensu, jest nawet szkodliwą dla młodzieży. Dla czego? Oto, bo młody chłopiec trzymany długie lata w ryzach, dostawszy się raz na wolność, pragnie sobie wynagrodzić dawniej odmówione uciechy, czuje nawet potrzebę podobnego wynagrodzenia, wylewa się więc na zbytki i rozkoszowanie, czegoby nie uczynił, gdyby zawsze był więcej wolnym. Niezgrabny sofismat! Trzeba rozróżnić karność od niewoli, wolność od swawoli, a sofistyka będzie jasną. Jezuita trzymali młodzież w karności, t. j. nie pozwalali na nieodpowiedne wiekowi i stanowisku studenta sposoby używania wolności, na gry, tańce, miłostki, romanse i t. d. — są to nadużycia wolności, dzisiaj między młodzieżą bardzo rozpowszechnione<sup>2)</sup>, ale przeto nie przestają być nadużyciami, które serce psują, głowę balańczą, i charakter młodzieńca koślawią. Jeżeli to ma być prawą wolność uczniów, to Jezuita takiej wolności dać swym uczniom nie mogli. Oni inaczej pojmowali wolność studenta: niech się bawi wesoło i swobodnie, ale w sposób dla niego odpowiedni — sami umilali mu

<sup>1)</sup> Przypominam obietnicę daną p. Szujkiemu wyżej — uiszczam się z niej teraz.

<sup>2)</sup> Nie wiem czy wszędzie, ale w Galicyi panowie profesorowie zdają się pojmować swój obowiązek tylko w murach szkoły. Oto drobna, ale charakterystyczna próbka tego. Wstęp do cukierni jest uczniom zabroniony regulaminem szkolnym. Zdarzyło się w pewnym mieście, że dwóch starszych uczniów wpadło do cukierni na przekąskę. Na nieszczęście zastają tam jednego z panów profesorów. Zwyczajem tedy swoim chcą dać drapakę — gdy w tem liberalny p. profesor zatrzymuje ich. „Nie żenujcie się panowie, ja jestem profesorem tylko w szkole.“ Jeżeli tak myślą wszyscy panowie profesorowie, nie dziwi mnie wcale, że uczniowie klas wyższych, nie tylko stępieni bardzo mają ale i tracą zupełnie zmysł moralności.

zabawę, brali nawet w niej udział: niech będzie wolny od narowów, brzydkich, nawyknień, pochopny do cnoty i pracy — to prawa wolność studenta<sup>1)</sup>. Używanie i rozkoszowanie nie jest celem lat młodzieńczych tylko płaska dusza cel sobie taki wytyka; młodość to pole walki, to czas próby, to ciągle pasowanie się namiętności i zapędów szlachetnych z poziomymi. I nie ten przysłuży się młodzieży, nie ten kocha ją prawdziwie, kto podzega złą namiętność, dorzuca łuczywa na ogień; ale ten kto hamuje zmysłowe, niskie, ale gwałtowne nieraz zachcenia i żądze młodzieńcze, a takim hamulcem jest karność roztronna. Niecne przysłowie: „*Die Jugend muss austoben*“ zostawmy niemieckim burszenszafdom, które nieczując w sobie nic szlachetnego, przed sobą niemając nic wzniosłego, mędrkują przy — szklanicy. Nie za ich przykładem iść młodzieży polskiej, jej zupełnie odwrotną postępować drogą, jej udziałem praca i wyrobienie sobie szlachetnego, zacnego charakteru, szlachetność zaś i zacność nie zdobywa się używaniem i rozkoszą, ale walką wewnętrzną, owem ścieraniem się namiętności i odmówieniem sobie nie jednej, nawet często niewinnej przyjemności.

Powiadamy: młody chłopiec dostawszy się na zupełną wolność nadużywa jej. Prawda — ale ze szkół jezuickich uczeń nie dostawał się na zupełną wolność, albo wszedł w komput wojska, a tam był posłuch rycerski; albo pomagał ojcu w gospodarstwie, to znać musiał mores ojcowski; albo kontynuował studia na akademii — to zostawał w tych samych ryzach, co dawniej w szkole, tylko nieco zwolnionych<sup>2)</sup>. Młodemu chłopcu któż rozsądny daje zupełną wolność? Dzisiejsza wolność akademicka jest swawolą — nie pochwałą jej ani poganie, któ-

<sup>1)</sup> Zarzucają Jezuitom, że byli i są nieprzyjaciołmi tańca, tej „niewinnej zabawy młodocianego wieku.“ Na tańce publiczne czyli bale, niepotrzeba jezuickiego zakazu, gdyż takich publicznych balów nieznano w Polsce. Warszawa dopiero za króla Stanisława stała się widownią maszkarad i balów, a na prowincjach dopiero pod obcymi rządami, ów płód cywilizacji począł się i wzrósł z niemałą ruiną szlacheckich majątków. Nie była też rozwinięta sztuka tańców jak teraz, ani koniecznym warunkiem ukształcenia Polaka, bo wtenczas kiedy Jezuiti szkół uczyli, nie było jedyną karierą młodzieńca, wyjść na „salonowego kawalera.“ Być więc może, że ani w szkołach, ani w konwiktach jezuickich nauki tańców nie udzielano wcale. Z tąd jednak nie wynika, że Jezuiti z zasady, (jak sobie to wielu wyobraża), są wrogami tańca. Crétineau-Joly w historii Jezuitów (t. 3. str. 232 wyd. franc. paryskie 1846) opowiada, że w redukcjach paragwajskich tuż obok szkoły, wznosiło się „*le gymnase de chant et de danse*,“ a obecnie po wielu pensyonatach jezuickich są osobne sale tańcu, gdzie metr lekcy tańcu udziela.

<sup>2)</sup> Jezuiti w chwili kasaty, uczyli na 24 akademjach. Jak wszystkie tak i Jezuitkie akademje miały swój kodeks dyscyplinarny. Słuchacz obowiązany był podać swe imię i nazwisko i przyrzec uroczyście, że regulaminu akademickiego przestrzegać będzie. Wolno jednak było uczęszczać na odczyty, nie podawszy nazwiska swego, byle tylko na odczytach zachował się przyzwoicie. *Constit. p. IV. cap. 17. §. 3.*

rzy w głośnych swoich szkołach w Atenach i w Aleksandryi najprzód na obyczaj, a potem na wiedzę swych uczniów baczenie mieli. Nie chcę rozmyślać tutaj wszystkich zdrojności akademickiej wolności — powiem, że niektóre są tak rażące, iż w niniejszem piśmie w żaden sposób wspomniane być nie mogą. Dostyc, kiedy Gazeta Narodowa nie grzesząca zapewne jezuityzmem, przypominać panom akademikom ich obowiązki musiała. Jeżeli, zbyt liberalni na zepsucie obyczajowe młodzieży, wrzekomej wolności akademii nie okróćim, to obawiać się wypada większych jeszcze nieszczęść, jak rewolucye czerwonych <sup>1)</sup>.

Unosimy się nad świetnością akademii krakowskiej w XVI. wieku, i wileńskiej pod kierownictwem Jana Sniadeckiego, ależ proszę zwrócić uwagę na rygor przepisów akademickich, które istniały nawet w najzawońszych w świecie wszechnicach Sorbony i Bononii. Wiek dzisiejszy emancypuje ciało z upośledzeniem ducha — wolność akademicka jest skutkiem tego emancypacyjnego prądu, ale ani oświacie, ani postępowi kor wści rzetelnych nie przynosi, owszem jest wstecznym zwrotem ku poganizmowi.

Poświęcenie Jezuitów dla swych uczniów nieznalo granic. To jednał im serca młodzieży i rodziców, a edukacyi ich nadawało cechę szlachetności i namaszczenie. Jakże rzewne są wspomnienia o dawnych profesorach, porozrzucane gęsto w dziełach *de Maistr'a*. Mówimy, że Jezuita francuscy stali wyżej od polskich. Bądź, co bądź o wyższości naukowej — w poświęceniu Jezuita Polacy zrównali Francuzom, nikt nie potrafi dowieść *contrarium*. Podwójne poświęcenie kapłana i nauczyciela przejętego ważnością obowiązku, łączyło się w profesorze Jezuita. Posiadali oni trudną sztukę pozyskania sobie od razu serca ucznia, umieli wzbudzić w niem miłość poufną z prawdziwym szacunkiem dla siebie, nie chłostą lub reprimendą — ale wejrzeniem, słowem jednym, nieraz milczeniem samem strofowali winnego. Ogromna większość klasy w ten sposób prowadzić się dała. Cóż podobnego dzisiejsi panowie nauczyciele na chlubę swoją powiedzieć mogą?

Ale boteż ten uczeń doznawał dobroczynnej opieki swego nauczyciela i po za szkołą. Rodzice zamożniejszych uczniów pokładali wielkie zaufanie w profesorze, bo znali jego poświęcenie. Tego zaufania używał profesor, aby zrobić przyjemność uczniowi, proponował jak mu umilić wakacye, jak urządzić czy to wjazd naukowy, czy studia domowe — a zawsze trafił do przekonania chłopca. Ubodzy uczniowie

<sup>1)</sup> Nie są to tylko moje obawy i przekonanie. To obawy i przekonanie wszystkich myślących ludzi. Dla przykładu przytoczę słowa znakomitego obywatela i publicysty. „Wprawdzie dojrzewanie młodzieży przyspieszone jest w dzisiejszych czasach, gdyby roślin pod szkłem, lecz i to wywiera zgubny wpływ na nasze towarzystwo, pasując na skończonych ludzi salonowych młodzieńców od książki, jest to przedwczesna emancypacja, przeszkoda niepospolita do ukończenia nauk, jest to obskurantyzm, na który narzykaliśmy od wieku, a który sami zaszczytamy; w służbie krajowej czuć się on da w przyśrodku; chłostać będzie tych, którzy mu rozsiadać się dozwolili w warstwie zamożnego towarzystwa.“ Przegl. Pol. rok VI. str. 77 — Zapiski ornitol. Kukułka.

byli przedmiotem rzadkiej staranności. Za interwencją profesora odbierali od możnych wsparcie pieniężne, zarekomendowani w dom pański zostawali dyrektorami domowymi paniczów, a zawsze było obowiązkiem profesora wynaleść im dobrze płatne lekcye. Gdy już innego sposobu utrzymania podać im nie było można, ojcowie sami ich potrzeby opatrywali. Nieraz czterdziestu i więcej uczniów stało u furty kolegium, gdzie z kuchni skromny ale zdrowy obiadek rozdawano. Profesorowie nieraz od ust swych odejmowali, aby ubogich porcyce powiększyć. Z satanny wyszarzanej, przenicowawszy ją, szył tym biedakom odzienie kolegiacki krawiec.

W każdym pensyonacie przyjmowano od 2—12 uboższych z talentem uczniów bezpłatnie, a koledzy, nawet ojcowie, prócz rektora, o tem niewiedzieli. Zwyczaj ten chwalebny zachowany po dziśdzień w konwiktach jezuickich. Nawet ukończywszy studia szukali uczniowie rady, a nieraz i czynnej pomocy u dawnych profesorów. W wykroczeniach dyscyplinarnych po za klasą, profesor stawał jako pośrednik między ks. prefektem, a winnym uczniem. Bywało, w przestępstwach ciężkich ale przypadkowych, zwłaszcza kiedy dobry zkadinał uczeń takowych się dopuścił, prefekt i profesor układali się razem, jak rzecz całą przeprowadzić, aby chłopca nie karać i nie hanbić publicznie, a poprawić. Bo kara u Jezuitów była dla poprawy — ale jeżeli tę poprawę osiągnąć można było w inny sposób, to unikali kary. Jest to jedna z najrzewniejszych stron edukacji Jezuitów. Nie raz przy takiej interwencji profesora, nie kańczugiem lub różgą, ale serdeczną przemową i prośbą, poplakali się i ks. prefekt, i ks. profesor i uczeń. Gdyby panowie literaci byli choć raz świadkami podobnej sceny, nie winiliby może tak skoro Jezuitów o demoralizacyą. W karaniu Jezuici nie byli popędliwi, pierwej winny musiał uznać swoją winę, pierwej musiał sam siebie osądzić godnym kary, nieraz wyznaczyć sam rodzaj kary; dopiero wtenczas był strofowanym. Ukaranym w ten sposób chłopiec wiedział, że nie gniew chwilowy lub zemsta profesora go dosięgła, ale, że moralne dobro jego kary wymagało.

Zarzucają Jezuitom nadużycie kary cielesnej. Naruszewicz napisał jedną z najpiękniejszych odę do kańczuga pińczowskiego, którym był chlostany w szkole. Zarzut niesłuszny. Po wszystkich gimnazyach i lyceach w całym zachodzie praktykowaną była chłosta aż do wieku XIX. Jezuici używając różgi nie grzeszyli przeciw ówczesnej tradycyi szkolnej<sup>1)</sup>, a jeżeli idzie o smaganie, to nierównie silniej i częściej smagali w Polsce Bazylijanie, Dominikanie i Pijarzy, jak Jezuici. U nich kara cielesna była środkiem ostatnim, nie spełniał jej nigdy sam profesor, ale tak zwany korektor, a wymierzał ilość razów sam ks. prefekt. Już te cermonje dowodzą, że nie tak często używano kańczuga, czy różgi, jak dziś pospolicie głoszą. Oto dosłowne tłumaczenie reguły 38. prefekta: „Dla tych, którzyby wykraczali w pilności lub przeciw dobrym obyczajom, a którym same dobre słowa i upo-

<sup>1)</sup> Nietylko szkolnej, ale tradycyi wychowania. U Polaków żmija-montor odgrywał ważną rolę w edukacji domowej.

mnienia nie starczą, niech będzie postawiony corrector, któryby nie był z Towarzystwa. Gdyby korektora mieć nie można, niechaj będzie obmyślony inny sposób, którymby ukarani byli stosownie; za domowe zaś przekroczenia, niechaj nie będą chłostani w szkole, jak tylko rzadko i z ważnej przyczyny<sup>1)</sup>. Więc lenistwo, swawola i krnąbrność, karano chłostą, ale wtenczas tylko, kiedy poprzednie upominania okazały się bezowocnymi<sup>2)</sup>.

Mówiąc o poświęceniu nauczycieli wpadłem na karę — bo i w karaniu jest poświęcenie, nieraz większe, uciążliwsze, jak w wszystkich innych nauczycielskich obowiązkach. Kara jakakolwiek ona jest, jest zawsze dotkliwą i upokarzającą; — nieraz potrzeba, ażeby chłopiec był upokorzonym i boleśnie dotkniętym — ale ten, który upokarza, który rani, chociaż dla uleczenia, współ cierpi i boleje sam z ukaranym, a to tem więcej, im wyższe posiada wykształcenie, i im szlachetniejsza jego dusza. Nie jest to urojenie lub wymysł mający uniewinnić dawną edukację, która uniewinnienia nie potrzebuje — to prawda na doświadczeniu i psychicznych zasadach oparta. Doświadczają tego ojcowie i matki, którzy karząc, nieraz sami więcej boleją, niż ukarane dziecko. Dodajmy, że winy dziecka pochodzą po największej części z ułomności, a nie ze złej woli — ma się więc politowanie nad onym biednym chłopczyką, a jednak ukarać go trzeba; a jeżeli jeszcze zważymy, jakiej to oględności i wyrozumiałości w karaniu potrzeba, ażeby ukarany chłopiec nie uważał kary za przekomarzenie się i nekowanie siebie, ale miał je za to, czem jest istotnie: za lekarstwo, chociaż może gorzkie; to łatwo pojmiemy, że karanie drugich jest czynem prawdziwego poświęcenia.

Pod względem więc moralnej wartości, szkoły jezuickie stały nierównie wyżej, jak szkoły dzisiejsze<sup>3)</sup>. Przeczyć temu nie można.

<sup>1)</sup> *Rat. stud. reg. praej.* 38.

<sup>2)</sup> Po zniesieniu zakonu, szkoły ich dostały się pod zarząd ludzi świeckich, którzy do odliczenia plag, przywoływali nieraz policyjnego dozorcę. (*Ure-vie Hist. de l'Université t. VI. p. 100.*) Tym, którzy przebaczyć nie mogą Jezuitom, użycia pleśni czy różgi w szkołach, radzę powtórzyć z francuskim pisarzem fraszek panem Piron, który namawiającym go do zemsty za otrzymane w szkole plagi, odpowiadał: „*J'ai trouvé indigne de ma tête, de vanger les injures faites à mon d....*“

<sup>3)</sup> Nie od rzeczy przytoczyć ustęp z broszury pedagoga dzisiejszej ery. „Co do szkół klasztornych w świecie katolickim, najwyżej stanęli Jezuiti. — Szkoły jezuickie kwitnęły już z końcem 16. stulecia i przewyższały o wiele inne ówczesne, tak klasztorne jak i protestanckie, tak, że i protestanci swoje dzieci do tych szkół licznie posyłałi. Zakłady jezuickie przewyższały w swoim czasie wszystkie inne urządzeniem lokalu, liczbą wykładanych przedmiotów i obchodzeniem się z uczniami. Obchodzenie się z młodzieżą było łagodne, ojcowskie, wzbudzające zaufanie, ale oraz pełne powagi i rygoru. Szczególnie dozor był nadzwyczajnie ścisły, i nie dozwalał krzewić się tajemnym błędem.

Kar tylko takich używano, któreby nie przytłumiały uczuć. Dbano o ruch fizyczny i urządzano często wesołe zabawy, pod dozorem starszych. Lokale ich

i wyjawszy kilku literatów z profesyi, ogół piszących i czytających oddaje Jezuitom słuszość w tej mierze. A jednak mimo to, że pochwalamy moralną stroną jezuickiej edukacyi, mimo to że wyznajemy otwarcie, iż staranne, sumienne wychowanie młodzieży, jest wielką publiczną przysługą, bo sposobi uczciwych, prawych obywateli; mimo to zarzucamy Jezuitom zdemoralizowanie narodu przez szkoły. Wpadamy w widoczną sprzeczność — pierwsi wpadli w nią panowie literaci<sup>1)</sup>.

wielkie i piękne, podług przepisów sanitarnych urządzone, czyste i zdrowe W ogóle można powiedzieć, że Jezuici byli znawcami ludzi, dla tego też i dobrymi pedagogami. Sławny filozof angielski Bakon, zgadza się zupełnie z ich prowadzeniem pedagogicznym“ (Rys pedagogii przez Huckla prof gimn. w Drohobyczy str. 22—24.) Otóż tu nie mówi Cicero *pro domo sua* — czy i to świadectwo nie zasługuje na wiarę? Podobnie antykatolicki pisarz Józef Łukaszczyk lubo nie przeczy szkodliwych bo katolickich (sic) dążności szkół jezuickich — to jednak wypowiada otwarcie, „że nie były tak złemi za jakie je w drugiej połowie XVIII wieku okrzyczano, i pod względem zakresu nauk nie były gorszymi od akademickich, owszem przewyższały je w tej i owej mierze.“ Historia szkół t. I. str. 512 — a w tomie II. str. 39. przyznaje wyższość konwiktów jezuickich nad pijarskimi. Mogę tu się powołać na świadectwo mężów europejskiej sławy:

Bako Werulamski w dziele „*de dignitate et augmento scientiarum lib. 1. §. 12 pag. 22 edit. Amstelod. 1730*) pisze: Największa zasługa wskrzeszonej sztuki wychowania, należy się kolegiom Jezuitów. Patrząc na ich niezmordowaną pilność, tak pod względem naukowej wiedzy, jak i moralnego prowadzenia powtórzyłoby wypadło słowa Agesilausza do Farnabaza: „*Cum talis sis utinam noster esses.*“

W książce zaś 6tej tego dzieła (str. 388) powiada. „Powiedzmy sobie, że co się tyczy wychowania jezuickiego — to szkoły ich za wzór sobie wzięść należy, albowiem nie masz lepszego wychowania jak ich (Jezuitów)

Hugo Grotius w dziele: *Votum pro pace Eccl. T. III. p. 658 Edit. Amstevd. 1679* pisze: Zakon Jezuitów w przeciągu stulecia i więcej istnienia swego, wydał nierównie więcej mężów biegłych we wszystkich gałęziach nauk, uczonych zarówno jak nieskazitelnego życia — niżeli wszystkie inne zgromadzenia.

Leibnitz protestant w liście do Tenzla. (*Operum tom. V. p. 400 edit Genev.*) pisze: „Przekonałem się, że ich (Jezuitów) dobre imię często sponiewierane, że im podsuwano zasady i tendencje, które im nigdy przez myśl nie przeszły.“

„Uczeni“ nasi mogą się więc przekonać, że nierównie „uczeńsi“ od nich inaczej o Jezuitach i wychowania ich sądzą i piszą.

<sup>1)</sup> Słyszałem skargi na niemoralność edukacyi jezuickiej w obecnej chwili Skargi te opierały się na tem smutnem zjawisku, że uczniowie jezuitcy skoro dostaną się do szkół publicznych lub na akademie — celują próżniactwem i lekkomyślnością. Któż temu winien? Juźci Jezuci. Tak nie jest. Pomiędzy uczniami jezuickimi, należy rozróżnić dwie kategorie. Jedni ledwo rok lub dwa u nich zostawali, lub w połowie edukacyi ich zakłady opuścili, lub do opuszczenia zakładu przez samych Jezuitów zostali zmuszeni. Tych konduite, cho-

ciażby złą i niemoralną, nikt rozsądny Jezuitom na karb nie policzy. Inni skończyli edukację w jezuickich zakładach, ale nieogłędnością rodzicielską rzucając w wielki świat, w gwar akademickiej swawoli, bez dozoru i opieki, ulegli demoralizującym wpływow otoczenia. Przy tej luzności obyczajowej, jaka stała się charakterystyką dorastającego pokolenia, przy tej manii fałszowania podpisów na wekslach, jaka dzięki niemądrym prawom o lichwie i wekslach ogarnęła nawet kobiety, młodzi ludzie, wychowani nie przez Jezuitów, ale w szkołach publicznych lub nawet w domu pod okiem rodzicielskiem, dopuścili się ciężkich przeciw moralności wykroczeń. Przyczyna więc złego nie leży w niemoralności wychowania jezuickiego, ale w tym antireligijnym, a tem samem niemoralnym kierunku, jaki nadano postępowi bez Boga i wiedzy bez Boga. Nie wszyscy też uczniowie jezuicy celują próżniactwem i lekkomyślnością. Są i tacy, i to w większości, którzy mimo niemoralności otoczenia, stoją przy wierze, cnocie i pracy.

---

## PRZYMUSOWE SZKOŁY LUDOWE w o b e c L i b e r a ł ó w.

Posel Leon Chrzanowski wychodząc głównie z osobistego swego sądu o fałszywości przysłowia: „Mądry przegada lecz głupi pobije“ a o prawdziwości zdania dyametralnie przeciwnego temu przysłowiu, to jest, że mędrszy nie tylko przegadał, ale i pobił odważniejszego, chce gwałtem przekonać sejm o potrzebie niezwłocznego wydania ustawy o przymusowym wychowaniu ludowem. Idzie mu wyraźnie o to, aby nasz lud w skutek przymusowego wychowania został mądrym, a tak aby razem i przegadał i pobił.

Nie wiem gdzie p. Chrzanowski znalazł dostateczną liczbę dowodów historycznych, że mądry zawsze a przynajmniej zwykle pobił. Powtóre nie widzę, coby to był za powód do nauki, aby mózgi pobić. Czy się mądrzy z głupimi biją? Czy bijąc się zwyciężają?... Pan Chrzanowski przeczuwając tę kwestyę, powiada, że się nie będzie zapuszczał w dzieje ustawy o przymusie szkolnym. Ależ właśnie należało się zapuścić w dzieje, bo potrzeba i pożyteczność podobnej ustawy mogłaby jedynie być dowodzoną eksperymentem — eksperyment zaś tego rodzaju mógłby być tylko osiłą — gnęty przez wnioskowanie z faktów dziejowych. Wiemy, że w głębokiej starożytności, państwa azyatyckie żyły podbojem i zwyciężały nie tylko odważniejsze, ale i mądrzejsze, czego świa-

dectwem i naród żydowski i sami bohaterowie Grecyi ginący w obronie ojczyzny, ale nie zawsze pobijający. Grecya triumfowała nad Persyą przez Macedończyków, nie przez Ateńczyków; Ateny mimo przymusowej ustawy o przymusowem wychowaniu uległy przed siłą nieprzyjaciół, których tylko przegadać umiały jako wiele mądrzejsze; ale podobno barbarzyńca Filip zażartował sobie z potężnych argumentów swoich przeciwników i pobił ich argumentem swej chytrłości i swego ramienia. Bohaterskie wysilenia Machabejczyków złamane były mieczem wcale nie mądrzejszych. Grecya mądra padła ofiarą dużo mniej uczonej rzymskiej potęgi. Rzymianie w danej chwili (i to kiedy mieli Porfiryuszów, Celsów i Julianów) doświadczali nieraz twardości miecza barbarzyńców wschodu — a potem byli z kretesem zbici przez barbarzyńców północy. Juźcić Atylle, Alaryki, Genzeryki, Teodoryki, szli na czele dzikich hord, nie na czele jakichś akademików. Zaledwie że te hordy osiadłszy na południu, zachłypnęły cywilizacji aryańskiej, alie znowu są pobite na wszystkich polach przez barbarzyńską potęgę Turków argumentujących mieczem i ogniem; schyzmatyckie Bizancyum wśród najuczeńszych rozpraw legło także pod ciosem tureckich argumentów i zaludniło Europę wygnanemi przez Mahometa swymi erudydami, którzy musieli być bardzo uczeni, skoro dali początek tak zwanej epoce odrodzenia nauk i sztuk. Maurowie wygnanymi zostali wtenczas z Hiszpanii, gdy rozwinęli całe bogactwo swej nauki i swej sztuki; wygnanymi zaś byli nie przez uczeńszych, tylko przez potężniejszych patriotyzyzmem czysto katolickim bohaterów Aragonii, Kastylii i Nawary. Ludwik XIV bił Niemców już całkiem zreformowanych — a podobno reforma w słowniku liberalnym jest synonimem światła, wykształcenia, cywilizacji. Jednak teraz Niemcy pobili Francuzów. Prawda, ale, czy niby jako mądrzejsi? Nie sądzimy. Niemcy wprawdzie wydały w ostatnim rezultacie swej uczoności Straussa, po którym nastąpiły w dziedzinie tej uczoności rządu nieczystej trzody materyalistów, ale przecież Francya wydała w rezultacie znowu swej uczoności Renana, a co do materyalistów, wyprzedziła pod tym względem Niemcy blisko o wiek cały. Co się tyczy uczoności, czy mądrości wsławionej wynalazkami morderczych rynsztunków wojennych, specjaliści twierdzą, że Francya jeżeli nie stała pod tym względem wyżej, to też nie stała niżej. Broń francuzka podobno więcej kładła trupem w danym czasie, niż broń niemiecka. Nie wspomnę już o akademiach kobiecych i o dziennikarstwie, któremi Francya zaimponowała Niemcom. Toć to



dopiero po odniesionych ostatnich zwycięztwach w oczach intelligencji liberalnej Prusy tak zmądrzały! Lat temu kilka, intelligencya ta dowodziła owszem jasno jak na dłoni, że wielki dzisiaj Bismarck był tylko wielkim tłumicielem idei cywilizacyjnych, wrogiem postępu, wskrzesicielem średniowiecznego feudalizmu. O cesarzu Wilhelmie do dziś dnia różne pod tym względem chodzą wieści, ale żeby to był ukoronowany filozof, tego podobno nikt jeszcze nie twierdził. Co się tyczy ludu niemieckiego, jeżeli mamy wierzyć prasie liberalnej o postępowaniu niemieckich wojsk we Francyi, tedy nie wypada, jak wnosić, że lud z którego to wojsko się składa, wcale zbytkiem cywilizacyi nie grzeszy.

Gdybyśmy zaś chcieli dotknąć bliżej nas obchodzącej historii, a chcieli sprawę rozstrzygnąć podług sądów p. Leona Chrzanowskiego, któremi jako były redaktor byłego *Czasu* rozjaśniał dość długo publiczność naszą, tobyśmy niezliczone mogli przytoczyć argumenta, że my Polacy bynajmniej nie byliśmy pokonani przez mądrzejszych Moskali i że ci ostatni pobili nas w końcu mimo całej pobitych wyższości cywilizacyjnej. Prawda, że nam ludziom nieliberalnym, wcale się nie zdawało rzeczą mądrą porywać się garstce na krocie i chcieć Rosyję zwyciężyć sztucznemi manifestacyami — ale promotorowie przymusowej oświaty ludu inaczej o tem sądzili. Dawniej było prawda przysłowie, że kto mocniejszy ten lepszy. Dzisiaj możnaby dodać: a ponieważ kto lepszy ten jest i mądrzejszy, (bo jużćie mądrość to dobro) — *ergo tandem*, kto mocniejszy ten mądrzejszy. Tak zdają się rozumować panowie liberalni. Owszem twierdzą nawet na odwrót, chcąc dowieść potrzeby prawa o przymusowej oświacie, że kto mądrzejszy, ten i fizycznie mocniejszy.

Że poseł Leon Chrzanowski chce szkół ludowych, szkół dobrych, że chce aby były jak najprędzej, wielką ma słusność, takich bowiem spraw odkładać się nie godzi kiedy je wykonać można; że dalej żąda, aby kraj w tym celu kontrybuował, rzecz równie słusna, nie można bowiem rozumnie chcieć celu a nie chcieć środka; ale że chce gwałtem przymuszać biedny nasz lud (tak też nie bogato obfitujący w swobody i wolności) aby przez te szkoły przymusowe stał się koniecznie mądrzejszym, to całkiem inna kwestya. Kwestyi tej nie załatwia podług nas przychylnie poprawione przez szanownego posła przysłowie i przemienione w skutek zwycięstw pruskich na zdanie, że mądrzejszy nie tylko przegadał ale i pobił; bo zdaje się, że prawdziwej cywilizacyi nie idzie o mądrość bijącą, ale o mądrość budującą. Tamerlany

i Dżyngiskany tem że bili, nie przedstawiali podobno mądrości o jaką nam idzie. Jeszcze też wielka kwestya, czy i Prusy pokazały wielką mądrość pobiwszy Francję, zabrawszy Alzację i Lotaryngię i zniewalając te prowincye, aby były odtąd całkiem niemieckimi. Troszkę cierpliwości a zobaczymy czem się ta mądrość pokaże wobec Rossyi, która pod względem wojen zaborczych nie najgorzej stoi, i która nad swoimi Niemcami jeszcze się rządu niezrzekła.

W głosie więc mającem uzasadnić wniosek o przymusowem wychowaniu, uzasadnienia tego nikt się nie dopatrzy, kto na rzecz patrzy ze stanowiska innego jak subiektywność wnioskodawcy. Racya zaczerpnięta z prawodawstwa Lykurgowego dla Sparty za wiele dowodzi, więc niczego nie dowodzi. Gdyby sejm chciał kopiować prawodawstwa Lykurga, musiałby dójść do zanegowania wszelkich praw rodziny na rzecz kraju — gdyby nawet tylko chciał się ograniczyć na kopiowaniu przymusu wychowawczego, zejśćby musiał całkowicie z wysokości dzisiejszych pod tym względem pojęć i przekonań. Nauka nie wiem, czyby na tem wiele zyskała, ale system bicia i wychowywania kijem i różgami poszedłby bardzo w górę, bo Lykurg kazał bić czy dziecko zasłużyło czy nie zasłużyło — a płakać niepozwał tylko za płkanie znowu bił — złodzieja zaś bić kazał nie za kradzież, ale za to, że słabością kradzież swoją zdradził. To wzięwszy na uwagę nie sądzę, żebym powiedział za wiele, twierdząc, iż szan. poseł w tej argumentacyi nie osiągnął racyi, bo ją przeskoczył. *Nimis probat.*

*Dziennik Poznański* w swej korespondencyi z Krakowa (Nr. 221) z 22 września przychodzi w pomoc sprawie przymusowej oświaty naszego ludu. Bardzo dużo i bardzo wymownie mówi, ale zaprzeczyć tego niepodobna, że oprócz jednego argumentu lichy przysłononego: *Chrzanowski ita dixit ergo verum*, inne bardzo są słabemi, lub raczej żadnemi. Korespondent ów nie tylko że nie chce dawać nacisku na skorygowane przez szan. posła przysłowie — ale je owszem sam dniem przedtem ze Lwowa skorygował po swojemu (Nr. 220). Myślałem, że to prosta omyłka druku, ale nie, przysłowie to bowiem przytoczone dwa razy, to jest jako poprawione i niepoprawione, w obydwu razach jest przez korespondenta powtórzone i w obydwu znowu słowo stanowiące jądro argumentu, to jest słowo *pobił* zastąpione jest słowem *podniósł*. Cóż to więc znaczy? Czy to niby *ad usum* prowincyi polskiej pod rządem pruskim? czy *pobił* ma być synonimem słowa *podniósł*. Przecieżyby same daty przytoczone tuż przed przysłowiem w mowie

będącym, tj. daty wojen z r. 1866 i 1870 same powinny wskazać, czy tu wnioskodawca chciał powiedzieć że mądry pobił czy też że mądry podniósł? Coby to było zresztą za przysłowie, że mądry przegadał, a głupi podniósł? Ale dajmy temu pokój. To jest rzecz pewna, że korespondent na argument o pobiciu przez mądrego zważać nie chce, jakby w przewidywaniu, że Poznańczykom nie byłoby łatwo uwierzyć w mądrość potencji, która co dopiero tak straszliwie biła i pobiła.

Co do argumentu *Chrzanowski ita dixit ergo verum* jest on wymownie rozwinięty i poparty zdaniem „że jeżeli sejm odrzuciłby wniosek lub choćby pod jakim bądź pozorem odroczył go do następnej sesji, żadne frazesy i żadne tłumaczenia nieuniewinnią go przed przyszłością. Pokaże się już stanowczo, że jest on ciałem złożonym z żywiołów nie tylko niezdarnych, zużytych, ale wprost niepatriotycznych.“ Dalej ostrzega on sejm, że jeszcze czas do poprawy jeżeli sejm chce zatrzeć i złagodzić swą winę i zyskać dla swego niedołęztwa pobłażanie — inaczej — choćby tylko przez zwłokę w przyjęciu wniosku posła Chrzanowskiego „popełni sejm prawie zdradę wobec Galicyi i Polski.“ Takie racye... to zrozumiemy! Znamy je dobrze z Przeglądów politycznych *Czasu*, z lat 1862 i 1863 — i czujemy całą ich siłę wobec zatwierdzonego niedołęztwa żywiołów sejmu lwowskiego.

Wiemy dobrze, że gdyby ultramontanie wielkopolscy w poparciu swych czterech punktów byli częściczkę z tego argumentu *ad hominem* użyli, *Dziennik Poznański* byłby się okropnie zgorzszyl, uderzyłby w alarm, że się jakiś bunt rekrutuje przeciwko najwyższej powadze kraju (choćby przecie koło sejmowe nie było jeszcze sejmem jak sejm lwowski), że rokoszanie głowy podnoszą, targają się na nietykalność, na wolność posłów itp. okropności, z oburzenia przeciw którym ledwie po pół roku krzyków, oskarżeń i potępiań ochłonął ten konserwatywny organ.“ — Ale wiedząc i pamiętając o tem, nie zapominamy też, że tam szło nie o sejm ani o koło sejmowe, tylko o kandydaturę p. Kraszewskiego — tu zaś idzie o wniosek p. Chrzanowskiego. Przedstawiać wyborcom na sejm niemiecki punkta mające na celu zabezpieczenie się od kandydatury p. Kraszewskiego jawnego zwolennika staro-katolicyzmu delingeryańskiego i nieprzyjaciela jedności z Rzymem papieskim — to bunt, to spisek, to rokosz przeciw wolności posłów, to zdrada, najwyższa zbrodnia przeciw ojczyźnie —

ale lżyć i teroryzować „niedołęzne żywioły“ sejmu całkiem polskiego, żywioły wyszłe z zupełnie wolnego wyboru kraju, grozić im nieubłaganem odsądzeniem od patriotyizmu, od rozumu; grozić im, że jeżeli nie przystaną prędko i całkowicie na wniosek, wtedy niech się nie spodziewają litości ani pobłażania — to jest dopiero uznanie i uszanowanie nietykalności i wolności posłów, oraz majestatu najwyższej powagi kraju, to jest dopiero wzór patriotyizmu, sprawiedliwości, dany całemu krajowi! — tak jest, to inaczej zwać się nie może, bo tu idzie o przeprowadzenie *purement et simplement* tego co p. Chrzanowski postawił. Izbie nie wolno mieć innego zdania, jeżeli chce pozostać izbą.

*Dziennik Poznański* prócz tej arcyracyi ma jeszcze inne, zwłaszcza przeciwko „krakowskiemu *Czasowi*“. Tu nie spuściwszy nic z werwy i elokwencji użytej przeciwko „niezdarnym żywiołom sejmu“ daje dowód swej dyalektycznej zwinności. Z tym ultramontańskim *Czasem* nie wiele robi straszaniem i przerażaniem, z nim trzeba rozumować, używa więc rozumowania. Jądrem tego rozumowania jest niepotrzebująca dowodzenia potrzeba oświaty dla ludu.

Ta potrzeba, wyznajemy, że jest axyomatem. Ale najprzód wypadaloby oznaczyć o jaką idzie oświatę? Bo całkiem co innego jest, gdyby ta oświata miała być dowolna, całkiem co innego, gdy ma być przymusowa. Nikt przymuszonym być nie może w tej kwestyi najwyższego znaczenia bez głębokiego przekonania, że to co mu przedstawiają jako oświatę, ci, którzy mają do niej przymuszać, to jest rzeczywiście oświata. Jakże więc można chcieć aby wniosek o przymusie został bezzwłocznie zamieniony w prawo? Powtóre, że między istotnie dobrymi szkołami a oświatą zachodzi ścisły związek, przyznajemy, ale żeby ten związek zachodził koniecznie między proponowanymi szkołami elementarnymi, jako przymusowymi, tego, wyznajemy, że żadnym sposobem, czy to na słowo korespondentów *Dziennika Poznańskiego* czy na słowo samego p. Chrzanowskiego, nie widzimy ani uwierzyć nie możemy.

Panowie liberalni już u nas dosyć czują się na siłach, aby dewizę wolności zamienić na dewizę przymusu. *Czas* po staremu przeciw przymusowi apeluje do wolności, a *Dziennik Poznański* dziwi się temu niby z tej racyi, że *Czas* podług wyroku liberałów jest wrogiem i potwarcą wolności. Mniejsza o ten wyrok, ale nam się znowu zdaje, że *Dziennik* zamiast ugodzić w kwestyę, to ją

frazesami omija. Nie o to idzie, czy *Czas* jest, czy nie jest wrogiem wolności, ale o to: czy przymus edukacyjny jest, czy nie jest negacją wolności? więc zatem zaraz, czy liberałom, którzy się głoszają protektorami i miłośnikami wolności, godzi się być za owym przymusem. To jest kwestya!

*Dziennik* zamiast na nią odpowiedzieć, chwyta się znowu deklamacyi przeciwko *Czasowi*, że ta gazeta najserdeczniej nie nawidzi wolności w zakresie najwewnętrzniejszym, to jest w zakresie sumienia i wiary. Dajmy na to że *Czas* wolności nie lubi — cóż z tego? Czy to *Czas* chce przymusu edukacyjnego? Panowie wolność kochacie, więc dowiedźcie, że przymus, którego wy chcecie, jest wolnością. Superlatywy nic tu nie pomogą, zwłaszcza superlatywy wyraźnie i rażąco przesadne o najserdeczniejszych usposobieniach *Czasu* w zakresie najwewnętrzniejszym. Nie trzeba nawet powagi pisma św. aby wiedzieć że badaczem serc jest stwórca, a człowiek widzi to co się pokazuje. Ze strony panów pokazuje się chęć przymuszania ludu, a w *Czasie* pokazuje się wstręt. Dajmy pokój temu co jest najwewnętrzniejsze i najserdeczniejsze.

Nie pamiętamy, aby *Czas* gdzie doradzał tyranję przeciw zakresowi sumienia i wiary, wiemy zaś, jako pilni tej wybornej gazety czytelnicy, że bardzo często i gorąco tego zakresu broni. Czyliż *Czas* nie okazał się zwolennikiem wolności zakresu sumienia i wiary, gdy występował w obronie tych skarbów zagrożonych w młodocianych sercach studentów krakowskich przez agitacye delingeryańskie, lub przez zaczepki tak nieprzyzwoicie i tak niebacznie z pewnej katedry scyntyficznej spadające? Ale *Dziennik Poznański* w tem może właśnie widzi pogwałcenie owego najwewnętrzniejszego zakresu. Bogu dzięki, że u nas sprawa przymusu jeszcze niezupełnie dojrzała, gdyżby tak samo i inni, całkiem inaczej widzący, widzieć musieli.

A co się tyczy walczenia przeciw postępowi, dla tego, że wolność w sobie mieści, to rzeczywiście, *Czas* pewien postęp walczy, ale to ten właśnie, którego firmą posługuje się zarozumiałe nieuctwo samozwańczej intelligencji; którą się posługuje próżniactwo deklamacyami zbywające obowiązek ścisłej pracy; którą się też posługują rozkiełznane namiętności i zachcianki krwawe; jednym słowem walczy postęp komunizmu, nihilizmu i rewolucyi. Rochefort, Ferré i Rossel i tym podobni panowie także

twierdzili, że w tym postępie jest wolność. *Czas* nie wierzy, a więc jest wrogiem postępu.

*Dziennik Poznański* chce właśnie dla tego przymusowego wychowania ludu, że się czuje wrogiem komunizmu. Pamiętajmy jednak, że tego lata czytaliśmy właśnie w korespondencyach *Dziennika* rozumowania i dowodzenia racjonalności i konieczności przeprowadzenia zachcianek komunizmu — i że jeżeli tych zachcianek społeczeństwo prędko nie zamieni w prawa, to ma wiedzieć że przymus już jest we drzwiach. Prawda że *Dziennik* nie stawiał komuny paryzkiej na równi z konfederacją barską, jak to czynił *Kraj*, ale to pewna, że na dawnych swych przyjaciół, jak p. Girardin, gniewa się dzisiaj mocno o spotwarzanie (!) komuny.

*Dziennik* się boi krwawych zachcianek w Galicyi i rozkiełzanych żądz, zwłaszcza na wypadek nieszczęśliwej wojny z Moskwą. I my się boimy, ale nie dlatego, że dotąd nie było przymusowego kształcenia ludu, tylko dla tego, że owa mądrość, która nietylko przegadać jest zdolna ale i bije, zanadto poczyna się objawiać w pewnych sferach galicyjskiego ludu, zwłaszcza w Rusinach.

Lud litewski, równie jak lud Polski kongresowej nie posiadał nigdy szkół przymusowych i nie ma mądrości która bije, mądrości krzyżackiej, a dla tego jednak mimo wszystkich pokus obszczajającej go rewolucyi nihilistycznej wcale nie okazał ani żądz rozkiełzanych ani krwawych zachcianek.

Czy wiecie panowie, dla czego w Galicyi było inaczej i być może inaczej? Z pewnością, nie dla braku przymusowego wychowania, ale właśnie z powodu pewnego przymusu praktykowanego w starym systemacie; dla tego, że duchowieństwo, któremu był dany pod tym względem nie jakiś czysto-kościelny udział, ale rodzaj twardego biurokratycznego urzędowania i biurokratycznej kontroli, że to duchowieństwo mówię, było po większej części józefińskie, to jest serwilistyczne wobec wymagań rządu, a liberalne wobec wymagań prawodawstwa kościelnego. Józefinizm a liberalizm lekceważący prawa kościelne, to przeciwieństwo są synonima.

Lud z jednej strony kuszony przez emisaryuszów demokratycznych, przez naszych centralów wersalskich, z drugiej strony przez inteligencyę biurokratów, z trzeciej przez tyranizującą go inteligencyę dworskich oficyalistów, często nawet samychże dworów, nie mógł być należycie broniony przez duchowieństwo systematycznie wychowywane w zasadach opozycyjnych względem najwyższej po-

wagi kościoła. Duchowni prawdziwie rzymscy, jak najprzewielebniejszy były biskup Tarnowski, ksiądz Wojtasowicz, albo jak nieodżałowany ksiądz Karol Antoniewicz, byli podówczas dość rzadkimi wyjątkami. W kierowaniu ludu niebyło wprawdzie przymusu usankcjonowanego przez władzę prawodawczą, ale był przymus rewolucyjno-biurokratyczny. To pewna że lud galicyjski dużo był szkolną nauką oświecenijszy w r. 1846, niż lud Polski kongresowej w latach 1863 i 1864, ale moralność jego objawiła się w stosunku całkiem odrotnym. W Kongresówce byli też księża mniej uczeni niż galicyjscy — ale byli niebiurokratyczni, byli rzymscy!

Nie zapominajmy też, że intelligencja postępu i zamkniętej w nim wolności miała także w krwawej historii 1846 roku swój udział. Gazetka naprzykład tygodniowej Rzeczypospolitej polskiej przyklaskiwała prawie nieszczęściu szlachty galicyjskiej, którą o tej straszliwej godzinie tytułowała szydlerczy ex-ślachtą.

Nie, sama szkolna oświata ludu nie może być dość silną, aby ten lud należycie uzbroiła przeciw rozkiełzanym żądom i krwawym zachciankom. Dajmy pokój ciemnocie naszego ludu, bo jest światło stokroć gorsze od tej ciemnoty, które szczególniejszym sposobem sprzyja szczepieniu i przyjmowaniu się tych żąd i zachcianek. Nie nazywajmy ciemnoty naszego ludu bydłęcą, jak sobie panowie pozwalacie w waszem demokratycznym ludolubstwie i w waszej czci dla majestatu ludu, bo acz ta ciemnota sama w sobie jest wielką biedą, ale w jej cieniach uchowało się w sercu tego ludu uczucie patriotyzmu mniej niż u was świadome siebie, ale podobno dużo zdrowsze, bo nieszczęsnymi doktrynami rewolucyjnymi nie zatrute.

Czyż owe krwawe żądze i zachcianki nie objawiły się w sposób najsromotniejszy w ludzie paryskim nie tylko dużo od naszego ludu, ale nawet od ludu niemieckiego szkolnem światłem oświecenijszym? Czyż te zachcianki i żądze nie są na całym świecie początkowanymi przez liberalną intelligencję. Przecież to Szwajcarya wygrzewa w swem łonie te skorpionowe ikry internacjonalistów, z których w danym czasie będą się wylegać na różne strony pozamawiane kontyngensy krwawych komunistów. Z drugiej strony sekta nibilistów rosyjskich, gdzie indziej się rekrutuje jak w intelligencji? Jeżeli tam krwawe zachcianki rewolucyi socyalnej opóźniają się w swem działaniu, to Europa nie komu innemu to podobno zawdzięcza, tylko tej uporczywej ciemnocie ludu rosyjskiego, która go czyni nieprzystępnym dla posiewu przyjmującego się tak szybko w miastach, w szkołach, w akademiach i w najoświecenijszych sferach.

Ta ciemnota, powtarzamy, jest wielką biedą, ale owa bieda na epokę zniszczeń moralnych jaką jest dzisiejsza, to *malum necessarium*, to tarcza zasłaniająca społeczność od innej ciemnoty, która jest największem nieszczęściem, sromotą i bólem tych na których padnie, a która jest następstwem oświaty bezbożnej kończącej się łunami i pożarami podsycanemi naftą w imię postępu i w imię wolności!

Dwa wielkie procesy, jeden we Francyi a drugi w Rosyi rozsądzające rozkiełznane żądze, krwawe zachcianki i czyny poczęte w umysłach wykształconych, przeprowadzane przez ludzi podobnie jak wy tu panowie, narzucających się na protektorów i promotorów cywilizacyi, postępu — przecież nas musiały czegoś nauczyć i choćby ostrożniejszymi wobec waszych oświadczeń i waszych zabiegów uczynić.

Obludę czy fałszywe rozumowanie, korespondent *Dziennika* zarzuca *Czasowi*, że *Czas* będąc przeciwnym wolności, w imię wolności jest przeciwny przymusowi w wychowaniu ludu. A my właśnie widzimy obludę czy fałszywe rozumowanie w tym argumencie negatywnym na pobicie *Czasu* wysmażonym. Jest wolność i wolność. Prawdziwa wolność jest dziecięciem rozumnego posłuszeństwa prawom obowiązującym w sumieniu. Z drugiej strony prawdziwa wolność jest tarczą praw przysługujących, których tak człowiek pojedynczy jak i cała społeczność z samej swojej natury używa. Fałszywa wolność płodem jest negacyi praw obowiązujących i zabójcą praw przysługujących.

Otóż *Czas* odpycha zawsze tę drugą — żąda i broni pierwszej. Odpycha wolność targającą się na prawa czy naturalne, czy pozytywne boskie, czy sprawiedliwe ludzkie, i usiłującą zniszczyć w ludziach uczucie obowiązku względem tych praw.

Cóż to za wolność niszczy prawa rodziny? Ponieważ tej wolności nie możecie ukazać ani dowieść, przeto twierdzicie, że się zawiera, czyli że się kryje w postępie, którego warunkiem nieodzownym wśród ludu ma być wasza przymusowa oświata. Ale w imię takiej wolności stanowiącej jakieś misteryum dogmatyczne przez liberałów podane do wierzenia, możnaby wszystkie wolności i wszystkie prawa podeptać i gwałcić jak je gwałciła i deptała zeszlowieczna rewolucya francuzka.

Kwestya istotna, decydująca o całej tej sprawie jest: Czy jakakolwiek reprezentacya społeczna może się czuć upoważnioną



do stanowienia praw gwałcących, czy to prawa naturalnie człowiekowi lub rodzinie przysługujące, czy w sumieniu człowieka obowiązujące? W szczególności zaś, czy jakakolwiek reprezentacya ma prawo przymuszać rodziców i to z całą surowością, aby oddawali swe dzieci do szkół mających się postanowić? Reprezentacya tyle ma prawa, ile nań przeleją wyborcy. Wyborcy nie mogą przelewać, czego się nie mogą sumiennie i godziwie pozbyć. Wolne kierowanie dziećmi jest dla rodziców i prawem przysługującym z natury oraz z woli Boga i prawem obowiązującym ich sumienie. Tego prawa na nikogo w świecie przelewać nie mogą, mogą w nich tylko (ale z całą wolnością) dać pewien udział zastępczy.

Chłopi są wyborcami dla dobra swego i dla dobra kraju. Jedno i drugie to dobro wkłada na nich obowiązek, aby przestrzegali tych swoich praw, których zrzec się nie mogą bez popadnięcia w rząd paryasów. Chłopi nie na to wybierają, aby ich wolność miała znaleźć nowy rodzaj gwałtu. Czemuby mieli być pozbawieni prawa, które przysłuży klasom wyższym, bogatszym, mogącym gdzie chcą wychowywać swe dzieci.

*Dziennik* i tej kwestyi nie rozstrzyga, tylko ją zbywa porównaniami i pytaniami, na które wzywa aby odpowiedział *Czas* i na które zdaniem jego *Czas* odpowiedzieć powinien, jeżeli się szanuje. Znowu więc przymus i to pod zagrożeniem niesławy! Ależ moi panowie, pytać się, nie jest to kwestyą rozstrzygać. Wy twierdzicie, *Czas* przeczy. *Czas* odpychając negacyę wolności którą w waszym przymusie spostrzega, nic nie zbywa pytaniami, dowodzi należycie. Wy twierdząc potrzebę przymusu, a razem twierdząc że przymus w mowie będący to postęp i wolność — jesteście tem bardziej obowiązani dowodzić, wszak znaną wam jest może zasada logiczna, że kto twierdzi, ten jest obowiązany dowodzić. Dwie wielkie szpalty zapisaliście w waszej korespondencyi z Krakowa (?) ale próżno tam szukać dowodów na uzasadnienie waszego twierdzenia. Jedyne dowód ma stanowić bardzo naciągnięte i wymęczone porównanie.

Ale, najprzód, *Cemparaison n'est pas raison.*

A potem, cóż to za porównanie? Mówicie: „Jeżeli społeczeństwo ma prawo zabraniać rodzicom fizycznie mordować, czy zagłazdać dzieci, to równe ma prawo niepozwałać zabijać ich moralnie przez głupotę lub niedbalstwo.“

Kacinnicy mawiali: *Omnis comparatio claudicat* — chcąc tym sposobem wyrazić, że gdzie jest potrzebny dowód ścisły, tam

zadne nie wystarczy porównanie, choćby najwyborniejsze. I nic dziwnego, bo dowód ścisły to zrównanie, a od zrównania do porównania bardzo daleko. Ale o waszem porównaniu powyżej przytoczonem nie można nawet powiedzieć, że jest kulejące, koszlawe, *claudicans*; nie możnaby nawet o niem powiedzieć, że jest gramoleniem się na czworakach, boć i kulejąc i gramoląc się na czworakach, można się jeszcze gdzieś dowlec. Porównanie to najlepiej da się zdefiniować naszym żartobliwym przysłowiem: Wlazł na gruszkę, kopał pietruszkę.

Cóż panowie rozumiecie przez zabijanie moralnie? Nie czekam na waszą odpowiedź jak wy czekacie na odpowiedź *Czasu*, aby rzecz załatwić — odpowiem sam. Jeżeli przez to zabijanie rozumiecie zbrodnicze czyny rodziców, to macie słuszość twierdząc, iż społeczeństwo ma prawo niepozwałać na takie zabijanie moralne. Ale cóż wam z tego *concedo* przyjdzie, kiedy mowa o tem prawie jest tu zupełnie włożeniem na gruszkę w celu kopania pietruszki? Przecież nieposyłanie do szkoły nie jest czynem, ale owszem zaniedbaniem czynu.

Jeżeli znowu przez to zabijanie rozumiecie zbrodnicze niedbalstwo rodziców w zasłanianiu dzieci przed zgorzseniami zdolnemi niezawodnie wyrzucić zabójczy wpływ na moralność dzieci, to jeszcze i ztąd daleko do twierdzenia, że społeczeństwo ma równe prawo stawać między dziecięciem a rodzicami, jakby miało w wypadku zamachu na fizyczne życie dziecięcia. W takim nawet bowiem razie, tem mniejby podobno zostało rodzin nie wziętych w kuratelę rządu, tem mniejby zostało niezasekwestrowanych praw rodzicielskich im byłoby trudniej oznaczyć, co rzeczywiście stanowi mord moralny, i gdzie on się zaczyna w postępowaniu rodziców.

Jakby podobna zasada mogła zająć daleko w negacyi lub konfiskowaniu praw rodziny na rzecz społeczności cywilnej i prawo rodzicielskiej powagi na rzecz społecznego rządu, pokazuje sama ta myśl, w której zrobiliście wasze porównanie. Mord moralny ma stanowić niedbalstwo rodziców w posyłaniu dzieci do szkoły. Tu wszystko zależy od znaczenia wyrazu niedbalstwo. Ale cóż będzie jeżeli rodzice nie będą chcieli posyłać dzieci do pewnej oznaczonej szkoły właśnie dla tego, że się w niej będą lękali mordu moralnego dla swych dzieci? Wy w ówczas nieposyłanie nazwiecie zbrodniczem niedbalstwem, a rodzice posyłanie miałiby sobie za zbrodniczy udział w moralnem morderstwie swych dzieci.

Jeżeli w takim razie wy koniecznie będziecie chcieli mieć słusność, to powiedzcież z góry: precz z rodziną — zastosujcie w całej obszerności prawodawstwo Lykurgowe, a pod zagrożeniem śmierci wywołajcie z kraju prawo ewangelii i prawo natury!

Żeby społeczność miała mieć równe prawo do przymuszania rodziców, iżby dawali koniecznie swoje dzieci do tych szkół, które jej się podoba ustanowić, jak ma prawo zabraniać fizycznego mordy, to tylko liberalna intelligencya coś podobnego wymyślić i twierdzić jest zdolna.

Najprzód, zabraniać i przymuszać, nader to są sprzeczne rzeczy aby głowy nieliberalne mogły dostrzedz między niemi jakąkolwiek bądź równość.

Powtóre, nie tylko że nieposyłanie dzieci do szkół, które się postanawiają, niekoniecznie ma być moralnem zabijaniem tych dzieci, ale owszem nieposyłanie to, może być ścisłym obowiązkiem sumienia, posyłanie zaś może być niebezpieczeństwem dla życia moralnego. Tu znowu zależy wszystko od pojęcia moralności. W epoce walki z dogmatyczną podstawą moralności, walki, którą intelligencya podnosi przeciw Kościołowi — w epoce wywyższania nad moralność religijną, katolicką, moralności tak zwanej czystej, tj. bezreligijnej — wszelka mowa panów liberałów o życiu moralnem i o mordzie moralnym, jest anachronizmem, albo jest prostem frazesowaniem.

Wszakże wy sami, gdy między trzema wnioskami w tym przedmiocie postawionemi za najważniejszy uważacie obdarzenie gmin szkołami, tedy zapewne chcecie szkół prawdziwie dobrych. Otóż, pozwólcie sobie powiedzieć, że nie tylko w systemacie konstytucyjnym, ale i w systemacie absolutyzmu, ci którzy stanowią szkoły, są przekonani, że tak ustanowione — są dobre. Że mogą być dobre, są argumenta p. Chrzanowskiego, których jądrem jest jego przekonanie o najlepszości systematu pruskiego i o mądrości pruskiej, która przecież wypłynęła nie z innego źródła, tylko ze szkół obmyślanych i ustanowionych w epoce twardego absolutyzmu.

Jest więc ta dobroć szkół możebną tu i tam — ale czy jest tam albo tutaj konieczną? Czy stanowiący szkoły są dogmatycznie nieomylnymi. Choćby najszczerzej chcieli szkół istotnie dobrych (a bywa, że i nie chcą), to jeszcze od chcenia do spełnienia daleko.

A w takim razie, czyż wy obrońcy wolności sumienia moglibyście chcieć przymusu dla rodziców, aby koniecznie posyłali dzieci swoje do szkół, o których dobroci koniecznie nie mogą być przekonani, choćby najszczerzej chcieli? Aby posyłali do szkół o których dobroci całkiem inaczej mogą być przekonani jak ci którzy je stanowili?

Moglibyście chcieć tutaj przymusu i to na mocy porównania z prawem jakie ma społeczność, zabraniającego mordu fizycznego?

A jeżeli, powtarzam, rodzice będą przekonani, że dzieci ich znajdą w waszej szkole mord moralny?

Dajmy na to, że szkoła rzeczywiście będzie uorganizowaną dobrze, sumiennie, odpowiednio celowi wychowania chrześcijańskiego i ojczystego, i że ta jej dobroć będzie prawie oczywista. Gdyby ta szkoła była machiną przez różne sprężyny bezduszne poruszaną, możnaby jej wówczas zaufać. nie byłoby przynajmniej racji nie ufać, chociaż i tak dalekoby jeszcze było od kwestyi takiego zaufania do sprawiedliwej, nie powiem już konieczności, ale choćby możebności zmuszania rodziców, aby onej machinie jak zboże na młockę, albo jak słomę na siczekę, dzieci swoje dostarczali. Szkoła, to przedewszystkiem nauczyciele; o wiejskiej zwłaszcza szkole w takim stosunku do kościoła postawionej, jak ją postawiła legislacya à la Giskra et Stremayer, kierujący nią nauczyciel daleko prędzej mógłby powiedzieć: Szkoła to ja — nizeli taki Ludwik XIV o państwie, którem rządził: Państwo to ja. Zkądże panowie możecie być pewnymi o jej charakterze na jutro, a nie dopiero na całe lata? Seminaryum nauczycielskie może dostarczyć świadectw kwalifikacyjnych do stanu umysłowego; co się tyczy stanu moralnego, może tylko poświadczyć, czem seminarzyści byli w czasie kursów, czem byli w szkole, ale nie czem będą, gdy staną na czele instytucyi wychowawczej ludowej z bardzo wątpliwą kontrolą. Kontrola aby dla rodziców była dostateczną rękojmią, musiałaby pod względem warunków moralności sama być przez rodziców kontrolowaną. Najlepsza zresztą kontrola nie zdoła zapobiedz furberyi człowieka, któremu będzie szło przedewszystkiem o to, aby miał zapewniony chleb dla samego siebie, a obok tego, może i o to, aby jakim robotom sekciarskim, takiego np, internacyonału, usługiwać.

Dla rodziców religijnych, z jakich jeszcze Bogu dzięki składa się nasz lud, naczelną kwestyą w wychowaniu dzieci może być i jest rzeczywiście troska o ich religijność. Księdzu mogą pod tym

względem zaufać, bo wierzą jego charakterowi, choćby nie osobie; wierzą sile i sumiennosci kontroli pod jaką kapłan zostaje — i wiedzą dla czego wierzą. Ale panu nauczycielowi, który przyjdzie z seminarium nauczycielskiego kierowanego przez ludzi świeckich, żadnej pod względem kierunku religijnego instytucji nauczycielskiej nieulegającej kontroli, na mocy czego wierzyć będą? Będą musieli wierzyć ślepo, rękojmi bowiem dla ich sumień takie seminarium jeszcze nie daje przy zniesionym nadzorze kościoła. Dla was moi panowie, to fraszka; dla rodziców chrześcijańskich to właśnie najwyższa kwestya tego życia moralnego z racji którego chcecie ich przymuszać. Pozwólcie sobie powiedzieć, że instytucje nauczycielskie przez was początkowane, protegowane, zachwalane, uwielbiane tem większy strach tylko mogą obudzać w sumieniach katolickich, im wasza postawa względem kościoła jest choćby tylko wątpliwszą. Wy co najwięcej, moglibyście być tutaj moderantami. Lud wie, że nic wam tak dalece nie jest obce a nawet przeciwnie, jak gorące uczucie katolickie. Lud wie, jak się macie do głowy kościoła, do biskupów, do najżywoźniejszych kwestyi religijnych poruszonych w obecnej epoce; lud wie, jak się macie do gwałtów spełnianych przez rząd włoski na własności i wolności kościoła. Wszakże wy tę najwyższą zdaniem katolików niemoralność, jaką jest napaść, zabór, grabież spełniona na prawach kościoła w Rzymie i w całym państwie kościelnem macie za bohaterstwo patriotyzmu, za szczyt cnót obywatelskich, za czyn arcymoralny. Lud wie, jakeście się zachowali wobec napaści na traktat tak niedawno zawarty między monarchją austryacką a Kościołem, to jest na konkordat i jak targanie tego traktatu mieliście za najistotniejszy warunek cywilizacyjnego postępu, wolności sumień i sprawy oświaty.

Lud nasz pod względem uczuć religijnych stoi na równi z ludem tyrolskim — a panowie czy stoicie na równi pod tym względem z inteligencją tyrolską? Chłopi polscy na ławach reichsratu wiedeńskiego, mogli na razie nierozumieć o co to szło, kiedy szło o solidarność reprezentacji galicyjskiej z reprezentacją tyrolską, ale jeżeli panowie myślicie, że w takich kwestyach wiecznie ten lud zostanie ciemnym, jak był ciemnym wówczas, to chyba sądzicie, że nasi duchowni w sprawie pozostawienia go w tej ciemności, jednakże mają interes z duchowieństwem „*Dziennika Polskiego*,” „*Gazety Narodowej*,” „*Kraju*“ i „*Dziennika Poznańskiego*.” Jeszcze tak daleko nie szło. Otóż chcieć w takim stanie rzeczy powodzenia w sejmie dla wniosku posła Chrzanowskiego o przymusowem lu-

dowem wychowaniu — i chcieć tego w imie moralnego życia, w imie prawa przysługującego społeczeństwu, zapobiegania mordom moralnym — jest to prawdziwie żartować sobie z tego ludu, w imie którego tak wysoko głos wasz podnosicie. Bądźcież cierpliwsiymi, aby się ten lud przed czasem niedowiedział, że w imie jego wszechwładztwa, chcecie tylko absolutyzmu rewolucyjnego, w imie jego praw chcecie tylko zmiany formy w machinie mającej te prawa gwałcić, a w imie jego oświaty chcecie tylko rozumną jego wiarę religijną zamienić na ślełą wiarę socyalną i polityczną. Bądźcie cierpliwsiymi, abyście tego ludu niezmusili do przypomnienia wam, że się rozumie na swych prawach i że w wybrańcach swoich chce mieć tylko swych przedstawicieli, nie zaś protektorów mających go zniewalać do ślepego przyjęcia narzuconego sobie dobra.

Obawiacie się katastrofy na wypadek nieszczęśliwej wojny z Moskwą i dla tego także tem prędzej chcecie mieć przymusowe ludu wychowanie. My, może jeszcze więcej tej się katastrofy obawiamy i dla tego właśnie z tem większą siłą samą myśl tego przymusu odpychamy. Przymusowe wychowanie w rękach rządu nieprzyjacielskiego mogłoby być właśnie najokropniejszym ułatwieniem moralnego mordu na ludzie podbitym.

Choćbyście najwyborniejsze szkoły ustanowili, choćbyście je najwyborniejszemi indywiduami obsadzili, choćbyście szkole ludowej zapewnili kontrolę najwyższą dającą rękojnie — to najprędzej po jakich latach dwudziestu moglibyście się z niej upragnionych korzyści spodziewać. Nie sądźcie panowie, żeby tak łatwo dało się wmówić w myślących, że dzisiejsze wykształcenie pruskich populacji jest dziełem dzisiejszego systemu wychowania. Gdyby to wykształcenie było w duchu obecnych szkół pruskich, coraz bardziej wciągających w siebie kierunek materialistyczny — to populacye tak wykształcone stanęłyby niżej *al pari* do zrewolucjonizowanych i prawdziwie przez dziennikarską inteligencyę zbydlęconych ludności wielkich miast francuzkich. Jeżeli jeszcze rząd pruski nowo obrany system postępowania w kwestyach religijno-szkolnych, którego zastosowanie widzieliśmy w Braunsbergu, będzie chciał z podobnie energicznym przymusem zaaplikować do wychowania ludowego, to nietrzeba być na to prorokiem, aby przewidzieć, że świeży zwycięzcy na polach Francyi przygotują sobie smutne na swych własnych polach katastrofy. Rosya z śmiertelną nienawiścią do kato-

licyzmu i z gorączkowym pospiechem w niszczeniu jego szczątek na Litwie i Polsce — łączy jeszcze stary zmysł polityczny, że w walkach decydują masy i że masy fałszywą nawet (objektywnie) ożywioną wiarą, muszą zwyciężać masy zbydlęcone materializmem i zgniłe hypokryzją. Uważajcie panowie, że Rosya przywodząc do zbydlęczenia i zgnilizny sfery intelligentne grożące jej wewnętrzną rewolucją — bardzo w ostatnich czasach podniosła wpływ swego prawosławnego duchowieństwa na masy — i że podsuwając się coraz bliżej ku Niemcom swojemi warowniami i obozami — podsuwa się jednocześnie swojemi cerkwiami. Niechcąc skosztować losu Szwedów pod Częstochową wprzód ją wzmacnia ogromną i wspaniałą cerkwią, zanim ją pocznie wzmacniać wałami i cytadelami. Tak jest, moi panowie, Rosya chcąc być w danym razie mocną w obec Prus, jak Prusy były mocne w obec Francyi, mnoży cerkwie a nie szkoły w rodzaju dzisiejszych szkół pruskich.

Katastrofa na wypadek wojny! Ależ gdyby nasi chłopci musieli się bać jak my się boimy, czyżby nie byli w prawie odpowiedzieć na wniosek o przymusowej szkole: my niechcemy z przymusu posyłać do szkoły, w której dziś może być katolik, jutro schyzmatyk, a pojutrze nihilista. Czyż rząd rosyjski niebyłby zdolny posłużyć się względem ludu polskiego nihilistami? A nużby Katków lub ksiądz Czerkaski był ministrem oświecenia. Jeżeli ten ostatni w czasie swego gospodarowania w Warszawie, chciał koniecznie wprowadzić na profesora filozofii lub dogmatyki do seminarium duchownego lub duchownej akademii takiego panteistę, jak ks. Pijar Krupiński, to czyżby się wahał na profesora lub dyrektora seminarjów nauczycielskich, sprowadzić ludzi z zastępu intelligencji nihilistycznej?

Nie tylko wszakże to niebezpieczeństwo groziłoby tylko religii — groziłoby ono równie sprawie patriotyzmu, sprawie samejże nawet oświaty. Język, historia, wytwarzanie pojęć społecznych, wszystko to będzie po ukazie rządu, a rodzice tymczasem w moc waszego porównania byłiby zniewaleni do moralnego mordy własnych swoich dzieci.

Nie potrzeba na to nauczycieli z seminarjów nihilistycznych, wystarczyłyby takie Wollmany pruskie. Katolicy w Braunsbergu przykładem swoim zdolni są pod tym względem oświecić katolików całego świata, co to jest przymus naukowy. Woleli się oni narazić na całkowite zamknięcie swoich szkół, aniżeli się zgodzić na posyłanie do nich swych dzieci, i na ratowanie tym sposobem owej szkoły. Wszakże ci katolicy należą do państwa, które umie i prze-

gadać i pobić, postawieni jednakże w alternatywie, postępowaniem swoim oświadczyli, że wolą nie mieć żadnych szkół, aniżeli mieć takie, któreby przez takiego Wollmana miały służyć do moralnego zabijania młodzieży. W szkołach ludowych niebezpieczeństwo pod tym względem byłoby tem większe im większą nauczyciel miałby sposobność z każdego przedmiotu na rzecz takiego mordu korzystać. Jeżeli w samych akademiach możebną jest rzeczą z okazji naprzykład prawa lub historii prawa infiltrować w umysły (zdolne obrony) truciznę wszelkiej niemieckiej negacyi i zabijać tym sposobem jednocześnie życie moralno-religijne, życie moralne narodowe i życie moralne naukowe, to cóż byłoby trudnego dla zwolennika lub najemnika nihilizmu czynić to w szkole ludowej i względem umysłów całkiem własnej obrony niezdolnych?

„Społeczność ma prawo zabraniaania rodzicom fizycznego zagłodzenia dzieci, więc ma prawo przymuszania tychże rodziców do niezabijania tych dzieci moralnie.“ To powiedzieli i już myślą, że wszystkiego dowiedli. Byt i słuszność prawa zabraniającego fizycznego dzieciobójstwa, podług tych panów, będzie czekać na wnioski i obrady Izby sejmowej, na interwencję władzy społecznej! Czyż to nie na jedno wychodzi jak żeby powiedzieli, że społeczność ma prawo przymuszania rodziców do niezagładzania dzieci?

A — jeżelić rzeczywiście prawo przymuszające do niezagładzania dzieci fizycznie stoi na równi z prawem przymuszającym do posyłania tych dzieci do waszej szkoły — wówczas zgoda na przymus — wówczas ani loika *Czasu*, ani w ogóle loika ultramontanów przeciw temu przymusowi nie znajdzie nic do powiedzenia. Przymus taki nie gwałciłby praw przysługujących rodzicom, gdyżby niepotrzebował być wcale użytym, równie jak nie potrzebuje być użytym przymuszanie rodziców do niezagładzania własnych dzieci. Prawo serca ludzkiego, prawo natury ma dostateczną dla siebie w sobie sankcję, więc silniejby ich do tego, samo z siebie przymuszało niżli wszystkie prawa świata. Potworności mogące się przydarzyć pod tym względem byłyby tak nadzwyczajnym, tak niesłychanym wyjątkiem, jak prawie niesłychaną i nie do uwierzenia jest ta potworność, aby rodzice własne dziecko zagładzali. Wasz przymus strzegłby wówczas i prawa obowiązującego i prawa przysługującego, strzegłby więc wolności; społeczność cywilna ratowałaby prawa społeczności



rodzinnej nie zaś sekwestrowała je, jak to miałyby miejsce, gdyby drugi wniosek p. Chrzanowskiego o szkołach ludowych miał być przyjętym.

Porównanie prawa zabraniającego mordu fizycznego dałoby się zrobić z prawem zabraniającego mordu moralnego, ale toby nie wyszło na korzyść liberalizmu. Społeczeństwo rzeczywiście ma nie tylko prawo ale nawet powinność zapobiegania mordercom fizycznym, więc ma też nie tylko prawo, ale powinność zapobiegania mordercom moralnym. Ale uważajcie panowie, że twierdząc to, stwierdzamy przede wszystkim nie zasadę wszechwładztwa ludu, ale zasadę prawa boskiego. Powinność wynika z wymagań wyższego prawa i prawodawcy. Jednostki społeczne nie mają tego prawa nad społecznością, ani być mogą jej prawodawcą. Jeżeli więc powiedziałem słusznie powyżej, że w ustach i pod piórem panów liberałów rzecz o życiu i mordercach moralnych jest tylko anachronizmem lub frazesowaniem, to równie słusznie tu powiedzieć mogę, że mowa o wspomnianych prawach społeczności, jest tylko u panów nadużyciem słowa i zbyt niemiłym rachowaniem na przyzwyczajenia i zasady przeciwników przeciwko którym wy z waszej zasady walczyście.

Z porównania tego, o ile ono jest obiektywnie logicznem i prawdziwem, wynika nie prawo ale obowiązek, powinność cenzury jeżeli już nie prewencyjnej, to przynajmniej bardzo ściśle czuwającej, aby się nie szerzyły i nie przemyczały w skórę ludu, pisma i doktryny mogące być zamachem na jego życie moralne.

Tutajby nie można powiedzieć, że porównanie *claudicat*, chroma, — a jeżeli chroma dla tego, że po jednej stronie idzie o życie fizyczne, a po drugiej o życie moralne, to jest, jeżeli to porównanie nie może stanowić racji ponieważ nie jest zrównaniem, wtedy pozwolicie sobie powiedzieć, że wasza argumentacja cała uzasadniona na porównaniu, po którego jednej stronie jest mowa o zabranianiu występku, jakiego sama zwierzęca natura zabrania, a po którego drugiej stronie jest mowa o przymuszaniu rodziców, aby posyłałi swe dzieci do szkoły przez wasze wnioski początkowanej i właśnie tem samem w przekonaniu rodziców katolickich, jeżeli nie do oczywistości zgubnych, to przynajmniej podejrzanym, — że tedy ta wasza cała argumentacja tylko w obec waszej liberalno-przymusowej logiki coś stanowić i czegoś dowodzić może.

Obmyślajcie, ustanawiajcie szkoły, nakładajcie podatki jakie chcecie w celu choćby i podobnego uposażenia nauczycieli wiejskich jak uposażyliście panów profesorów seminaryjskich — krajowi może

się to dziwnem wydawać, iż narzucająca się oświata ludowa tak się każe za swe kapłaństwo i poświęcenie, bogato płacić jak dotąd ledwie była płacona oświata uniwersytecka; ale, aby rzecz była jako tako znośna, zostawcie przynajmniej wolność w zakresie najdrażliwszym dla sumień rodzicielskich. Kiedy już w miejsce zawiedzionych nadziei ulżenia krajowi w ciężarach podatkowych, jeszcze te ciężary zdaniem waszem wypada podwyższać, to przynajmniej nie przywódcie biednego ludu do smutnego przekonania, że za resztki swej biednej substancji kupuje sobie niewolę, jaką zabieracie się narzucać mu z całą surowością.

W interesie dwóch skrajnych wniosków p. Chrzanowskiego, dajcie pokój trzeciemu, jeżeli rzeczywiście macie na sercu sprawę oświaty, wolności, moralności i patriotyizmu.

Dajcie dobre szkoły, nie tylko wedle waszych pojęć, ale i wedle zasad religii, która jeszcze coś znaczy dla chłopców, a ręczę wam, że bez przymusu całkiem się obejdziecie i szkoły będą pełne.

Jeżeli zaś rzeczywiście chodzi wam o zabezpieczenie ludu od komyunizmu i rewolucyi, o zasłonięcie go przed pokusami rozkiełznanych żądź i krwawych zachcianek — i jeżeli czujecie, że się tutaj bez przymusu nieobejdzie, czyli bez konfiskaty wolności, to skierujcie się ku tym, którzy nadużywając wolności druku podejmują apologie i panegiryki poronionych gdzie indziej tego rodzaju tendencyi. Wszakże nasza intelligencya dziennikarska, już się na dobre zabierała w popularnych gazetkach do przekonywania naszego ludu, że to tylko wrogi postępu w działaniu komuny paryzkiej, widzą rozkiełznane żądze i krwawe zachcianki.

Ks. Z. G.

*Errata:* Str. 483, wiersz drugi z góry — zamiast ksiądz Wojtasowicz, czytaj Wojtarowicz.

## A L Z A C Y A.

Oderwanie Alzacy od Niemiec, a przyłączenie jej do Francyi przed 200 blisko laty ochroniło Alzatów z jednej strony od eksperymentów Józefinizmu i Illuminatów, które w Niemczech tak wielce zaszkodziły Kościołowi, a z drugiej dla nieznamomości języka francuzkiego nie wystawiło na zepsucie czasów Voltaira.

Takim sposobem pozostali Alzacy religijnym i cnotliwym ludem. Rewolucya, która się w Strassburgu pokazała w całej nagości i ohydzie, wywołała

ten skutek, że lud na prowincyi jeszcze bardziej utwierdziła w przywiązaniu do religii katolickiej. To też rzadko znaleźć ludność, któraby tak gorąco przywiązaną była do Kościoła i tak sumiennie wypełniała obowiązki religijne, jak w Alzacyi. Ztąd też wpływ duchowieństwa większym tu jest, aniżeli gdziekolwiek indziej. Dowodem tego, że w niedziele kościoły przepełnione wierzniymi. Prawie wszyscy mają książkę do nabożeństwa, i podczas gdy na chórze śpiewają pieśni, towarzyszą pobożnie tajemnicom św. ofiary, albo uważnie słuchają słowa bożego. W każdą niedzielę, a jeszcze więcej w święta uroczyste, przystępuje bardzo wielu do stołu pańskiego, przyczem zachowanie się ich dowodzi bardzo żywej wiary. Na wielkanoc przystępują do Najśw. Sakramentu, nie tylko niewiasty, ale i mężczyźni i z pomiędzy trzydziestu parafij zaledwie jest jedna, w której ten lub ów na wielkanoc nie przystępuje do Sakramentu ołtarza.

Prawie w każdej parafii pracuje nauczyciel w największej zgodzie z kapłanem. Bardzo wiele spraw łączy ich i dla tego dobrze wiedzą, że tylko wspólnem wspieraniem siebie, dobre rezultaty w parafii osiągnąć mogą. Stan nauczycielski jest bardzo religijnym; dowodzi tego ta okoliczność, że wielu synów nauczycielskich poświęca się stanowi duchownemu, do którego zwyczajnie gorliwi kapłani miejscowi przygotowują zdolniejszych chłopców. Więcej niż stu synów nauczycielskich są kapłanami.

To wzajemne wspieranie się kapłana i nauczyciela wywiera najlepszy wpływ na szkołę. Proboszcz wspiera swą powagą nauczyciela; pochwałą albo naganą podtrzymuje karność szkolną, a do szkoły chodzą dzieci regularniej, niż pod przymusem biurokratycznym. Nawet mniej sumienni rodzice posyłają regularnie swe dzieci do szkoły, bo pasterz dusz, gdy odwiedza chorych, albo familie, nakłania rodziców do tego.

Surowych upomnień prawie nie potrzeba. Po wsiach alzackich, a nawet i po miastach utrzymały się starodawne religijne zwyczaje. W wielu rodzinach jest wieczorem wspólna modlitwa, a zimowemi wieczorami czytają Żywoty świętych. Na Anioł pański zdejmują mężczyźni czapki z głowy gdziekolwiek się znajdują, czy na ulicy, czy na polach i pobożnie odmawiają pacierz.

Pobożne to życie domowe odbija się i na zewnątrz. Trzydzieści lat już rządzi dyecezą strassburską ks. biskup dr. Andrzej Raess. W tym czasie poświęcił 70 nowych kościołów, a prócz tego 30—48 nowych budując; nie mała to liczba na 800 parafij. Pewnie w żadnym innym wieku stosunkowo tyle kościołów w Alzacyi nie pobudowano. Niektóre gminy pokryły koszta budowy dochodami z lasów; do wybudowania innych, przyczynił się chociaż zwyczajnie małym tylko zasiłkiem rząd; największą część pobudowano z dobrowolnych datków.

*(Tyg. Katol. Nr. 38 z 23 września.)*

(Dok. nast.)

## Korespondencye „Przeglądu“.

Kraków, dnia 29 września 1871.

W Nr. 267 *Dziennika Polskiego*, ów kapłan chcąc usprawiedliwić swe postępowanie, brnie w kłamstwach i nadrabia dobrą miną. Tak na przykład, kiedy poprzednio oskarżał Matkę Talbot, że ściągala pieniądze wszystkich domów Szarytek galicyjskich, na wybudowanie dla siebie i dla cudzoziemskich nabożeństw kościoła na Kleparzu — teraz udaje, jakoby tylko mówił był, że to szło nie o przymusowe kontrybucye ale o grosz składkowy. Pyta się, że jeżeli ten kościół nie jest zbudowany zbieranym czy żebranym groszem, to jakimże cudem powstał. Trzeba było o to się zapytać, kiedyś jegomość taki ciekawy, wprzód, zanim Matkę Talbot, o ściąganie pieniędzy z domów galicyjskich oskarżyłeś. Ciekawość twoja jest tu znana, i weszła w przysłowie. Gdy jegomość byłś w Krakowie, to nie było kąta, w którybyś nie zajrzał. Miano cię tu za ajenta rosyjskiego, a ci których spotwarzasz, bronili twej sławy wówczas. Otóż gdybyś się był spytał, toby ci odpowiedziano, że pieniądze na zbudowanie kościoła szły z tej samej kieszeni, z której i tobie niejednokrotnie udzielana była pomoc, a która gdy została dla ciebie zamkniętą, boś był nienasycony, wtedy się tak srodze pogniewał. że aż przez kłamstwa i potwarze przeciw własnej dobrodziejce, ulżywasz brzydkiemu twemu sercu. Kościół zbudowała Matka Talbot za swoje pieniądze. Kościół ten kosztuje dotąd przeszło sto tysięcy reńskich, to możesz wiedzieć dobrze, ty który wiesz gdzie się co na obiad gotuje, że taka suma nie zbiera się u nas żebraną, lub kontrybucyami z domów, które same ledwie mają za co żyć. Wiesz komu Matka Talbot o dała, i powiadasz, że pomoc tę możnaby na palcach obliczyć. Jeżeliś to tak wysłedził, to daleko łatwiej byłoby ci wysłedzić, co też który dom galicyjski dał na kościół? Byłoby to brzydکو, zwłaszcza dla ciebie który siużysz *Dziennikowi* tak się strasznie gniewającemu na system wzajemnego dozorowania się w zakładach wychowawczych — ale przecież byłoby mniej nie uczciwie jak to co zrobiłeś, że wiedząc, iż żaden dom nic nie dał, twierdziłeś, że wszystkie dać musiały. O legacie Księdza Łętowskiego żarty stroisz, i powiadasz, że znając świętobliwość Panny Talbot. byłbyś dał szyję, że legatu tego użyła na budowę kościoła. Czy to godne najlichszego kapłana? Legatu Ks. biskupa, Matka Talbot użyła na co był dany, to jest na życie. Dwadzieścia tysięcy złp. to jest: 5000 reńskich; możesz wiedzieć, na jak długo wystarczyć mogły na życie domu, w którym przecież oprócz licznej gromadki Sióstr, choćby tych starsuszek wygnanych z Rosyi, których tak znaczna jest liczba, są jeszcze seminarystki, są dziewczynki wychowujące się, sieroty. Żyły i przed tem, prawda, ale kwestya, jak żyły? A potem. czyż dla tego żeś miał z czego żyć wczoraj, już masz z czego żyć dzisiaj? Domy, któreby posiadały kapitały lub dobra, mogłyby żyć bez troski — ale czemuż to jest dzisiejszy dom Matki Talbot, w porównaniu z tem, co z pomocą Ks. Łętowskiego założyła! — Może już dziesięć razy więcej. Co do legatu hr. Rzewuskiego, każesz mi się wracać do Czasu. Po cóż? kiedy wiem od żony nieboszczyka, że Siostrom nic nie zapisał. Jakiś dar przeznaczony był przez hrabiego za życia na Ochronki, kierowane przez Szarytki; komitet Ochronek o tym darze wie. Nie chybia on swego celu, ale to nie jest legat a tym bardziej legat dla Szarytek. Kawalek ogrodu Matka Talbot

od hrabiego kupiła, może być, że tanio, ale przecież tego kawałka na budowę kościoła nie sprzedała, aby na twoje wyszło, że za pieniądze hrabiego kościół budowała. Na co ci te kłamstwa? Nic nie przekręciłem z twoich wygadywań na Ustawy o Stowarzyszeniu dla wybawienia dusz. Czemu ignorujesz w twój replice ów fakt, na który zwracałem twoją uwagę, że te ustawy mają *Impri-matur* władzy duchownej krakowskiej? Czy temu, żebyś jeszcze miał uciechę w plugawém piśmie, praktykę pobożną nazwać *szacherstwem*? Co powiedziałeś, żeś dosłownie zacytował, twierdząc powtórnie, żeś kłamliwie zacytował. — Tak zestawionych słów, jakieś je zacytował, nie ma w miejscach wskazanych. Nie wstydzisz się twojego własnego wnioskowania, nazywać dosłowną cytacyą. Czy to tak robią uczeni ludzie? Kłamiesz twierdząc, że Ks. biskup Gałęcki asystował aktowi konsekracyi. Nie asystował wcale, bo nie mógł dla słabego zdrowia. Wiesz we Lwowie, co i jak długo gotowano w krakowskim domu Szarytek w czasie pobytu Nuncyusza u Missionarzy. To się tam przyda we Lwowie, żeby cię się strzegli. Kłamiesz także że ci *de Libello* porobił cytacye z kodeksu jezuicko-karnego. Zrobiłem cytacyę z Ferrarisa i odesłałem cię do niego właśnie dla tego że Ferraris należał do Zakonu, z którego wyszedł Klemens XIV.

Ks. Z. Ś.

## K r o n i k a.

Prądy antireligijne. — Zjazd Döllingeryanów w Monachium. — Warunki potrzebne do utworzenia herezy. — Panteizm religijny i jego następstwa. — Przełożeni starowierców niemieckich. — Tryumf kościoła w Niemczech. — Talary pruskie. — Gazeta krzyżowa. — Zgromadzenie katolików w Moguncyi. — Ks. biskup Kettler. — Słowa O. Hilarego. — Syllabus a liberalizm. — Kto targa jedność w naszym społeczeństwie. — *Gazeta Narodowa* i Katków wobec kościoła. — Kto prowokuje — Kto zmusza do występowania. — Liga pokojowa. — Miłośnicy pokoju. — Owoce emancypacyi niewiast. — Polscy potentaci polityki czynnej. — Republika słowiańska. — Pan Kraszewski w Wenecyi. — Korespondencya w Kraju. — Uszczęśliwienie Wenecyi przez rząd włoski. — Przyjęcie króla Emanuela. — Otwarcie tunelu w górze Cenis. — P Remusat. — Cywilizacya. — Hannibal. — Braciszek p. Jana Dobrzańskiego. — Ciemne lochy. — Ustawy Towarzystwa Alfieri. — Studenci na uniwersytecie rzymskim. — Dwudziesty Wrzesień. — Na Wschodzie. — Machometanie i schyzmatycy. — Dar Ojca św. — Pobyt Nuncyusza w Krakowie. — Gazety lwowskie. — My tygrysowanie. — Sejm we Lwowie. — Wyuczzone impromowizacye. — Pan hrabia Leszek Borkowski. — Pogromca sejmu i ciemnoty. — Jubileusz ks. arcybiskupa.

Z każdym dniem prądy zwalczące usiłujące Kościół katolicki wyrazistsze przybierają kształty. Nie chodzi im już wcale o ten lub ów dogmat, ale otwarcie dziś dążą do zupełnego wywrócenia wszelkiej objawionej prawdy. Kiedyśmy w przeszłym poszycie naszego pisma mó-

wili, że niezadługo dwa tylko pozostaną w zapasy idące z sobą obozy, t. j. Kościół i niewiara pełna rewolucyjnej wściekłości. niemyśleliśmy, aby kilka odbytych w tym czasie różnorodnych w Europie zjazdów, tak rychło potwierdzić mogły nasze twierdzenia. Zjazd Döllingeryanistów, (od którego zaczynamy) przekonać musi wszystkich trzeźwiej na rzeczy patrzących, że w nim nie o herezję, schyzmę lub jakiś dogmat idzie, ale o zanegowanie wiary. A że jej żywotność w samym tylko Kościele katolickim się przechowuje, więc jemu wypowiedziano walkę. Pomijamy tutaj inne jeszcze socjalno-polityczne powody. Herezje i schyzmy w całej tej akcji pozorną odgrywają rolę; nie fanatyzm to religijny, ale pychę rozdęty rozum człowieka, żadnej krom siebie samego nieuznający powagi, zapamiętała wydaje dziś Kościołowi walkę. Zjazd Döllingeryanów tem się właśnie odznacza i dla tego strasznym Kościołowi nie jest. W chwili bowiem, kiedy najsprzeczniejsze z sobą w wielu swoich artykułach wiary, herezje i schyzmy, po pozdrowieniu się serdecznem, rzucają się wzajem w swoje objęcia, to już dowodzą, że są bez siły i wpływu żadnego, martwe, bezwładne, na schyłku dni swoich, w przededniu całkowitego rozkładu, kończącego się sceptycyzmem. Nie, zjazd Döllingeryanistów w Monachium, Kościołowi żadnej nie zada klęski, wierzących silniej tylko około Niego zjednoczy, i jeżeli mu się uda w jakąś całość z sobą połączyć herezje i schyzmy, to je w mgnieniu oka do reszty dodusi. Aglomeracye bowiem tego rodzaju, byłyby jakim religijnym w chrześcijańskich czasach panteizmem, przypominającym nam ów panteizm w pogańskim Rzymie, a wiadomo jaki on to cios zadał poganizmowi, jakie usługi oddał Kościołowi. Döllingeryzm gotaje rychlejszy tryumf dla Kościoła w Niemczech.

Bo jacyż to tam ludzie obradowali, krom Döllingera, wszystko to zbieranina różnorodnych żywiołów. Kilku księży jeszcze na lat parę przed soborem suspendowanych lub exkomunikowanych za różnego rodzaju przewinienia, jeden wywłoka klasztorny, zresztą laicy, znani wyznawcy ateizmu, socjalizmu i farmazoni. Tacy mogąż utworzyć jaką herezję? kiedy i ta wymaga koniecznie, w niektóre przynajmniej dogmata, wiary. Talary pruskie niedostatkowi jej zaradzić nie zdołają. To też Döllinger, jeżeli prawdę mówi korespondent do Gazety Krzyżowej, sam się już poznaje na stanie rzeczy. Polityka pruska chciała użyć całej tej sprawy do utworzenia państwowego Kościoła, któryby ściślej spoił składowe części nowego cesarstwa i nadał mu, jak to mądrze wypowiedział *Czas*, pewne uświęcenie, kiedy z Rzymu otrzymać go nie było podobna. Tyle o Monachium. Równocześnie niemal, obradowało zgromadzenie katolików w Moguncyi o jakim napomknęliśmy poprzednio. Biskup Kettler świetną wypowiedział był mowę. Niemcy od lat kilku zaczynają objawiać czynne działanie na polu życia religijnego. Döllingeryanizm z jednej strony, a sekciarze z drugiej, wsparci ramieniem rządów, bawarskiego i pruskiego, dodadzą im bodźca do gorliwszego występowania w obronie praw Kościoła i zasad wiary świętej. Niemasz już nigdzie dzisiaj w Europie, powiedział Ojciec Hilary na zgromadzeniu *Pius-Verein*, w Fryburgu, żadnego dla katolików środka do wyboru pomiędzy syllabusem, dekretami soboru, a apo-

stają. Liberalizm, pokazało się, gdzie zaprowadzać zwykł i komu on służy. A że *Gazeta Narodowa* inaczej te rzeczy pojmuje, to i coś dziwnego. Dziennik przygotowujący w umysłach polskich drogę dla schyzmy, musi takie umieszczać rozgowsy<sup>1)</sup>. Za to prenumerować ją i tak będzie tysiąc przeszło księży, z najspokojniejszym już dzisiaj sumieniem, jak skoro nie zapobieżono upadkowi uczciwego dziennika *Unji*.

Obok kongresów odnoszących się do spraw religijnych, były i niby czysto-polityczne. Liga pokojowa zgromadziła w Lozannie wszystkie znakomitości rewolucyjne. Ojca Gratrego, pp. Jules Favra i Jules Simona już dzisiaj nie było, ale za to byli wielbiciele i wyznawcy komunizmu, z miłości pokoju pochwalający petreole. Jakaś pani Léon apoteozowała komunistów. Rozumie się... teorie o emancypacji niewiast muszą składać dowody, do czego emancypatorki mogą być zdolne. Zgromadzenie tedy w dowód miłości pokoju, postawiło wniosek rozdziału państwa od Kościoła, niechrzczenia dzieci, a co najważniejsza! to zbudowanie republiki federacyjnej polskiej, zwać się ona jednak będzie już słowiańską! W kongresie wzięły udział i pierwsze znakomitości naszego kraju, jak pp. Milkowski, Kurowski, i kilku potentatów polityki czynnej. Pan Kraszewski atoli nie pojechał, siedzi sobie w Wenecyi i z tamtąd zasilą krakowski *Kraj* sążnistemi korespondencyami, w których on sam, p. Kraszewski, gorący zwolennik jedności włoskiej, a wielbiel Wiktora Emmanuela, którego w Wenecyi widział, bo go widzieć należało, opowiada całej Polsce, jak jedność włoska uszczęśliwiła Wenecyę. Oto dzisiaj pełno w niej żebractwa i nędzy.

<sup>1)</sup> *Gazeta Narodowa* rzuciła nam w oczy, że my ultramontaniam dążymy do rozdzielenia naszego społeczeństwa przez bronienie zasad katolickich. — Znaleźli się nawet i księży, adoratorowie, przyjaciele gazety p. Jana Dobrzańskiego, polujący za popularnością, którzy w nadmiarze rzekomego patriotyzmu tę samą piosnkę powtarzali. Odpowiadaliśmy zawsze i odpowiadamy dzisiaj, że społeczeństwo polskie, lud polski był i jest katolickim, że katolicyzm jedyną podwaliną naszego bytu i naszej przyszłości, kto bije w niego, ten jest właśnie nietylko twórcą rozdarcia naszej jedności w narodzie, ale co więcej, rozmyślnie czy nie, to mniejsza, służy wrogom kraju naszego. *Gazeta Narodowa* i wszystkie liberalno-rewolucyjne za nią dzienniki właśnie to czynią. Podstawą bowiem katolicyzmu, essencyonalną własnością jego jak nas uczy prosty katechizm jest jedność i posłuszeństwo kościołowi rzymskiemu. Dla katolika kościół rzymski a katolicki to jedno i toż samo, owszem nie można być katolikiem, chociażby kto wmawiał w siebie że nim jest, jak to czynią moskale utrzymujący jednocześnie podobnie jak *Gazeta Narodowa* (Nr. 300. z 1. Paźdz. r. b.) że „zdrożne są niewątpliwie dążenia obecnego kościoła rzymskiego.“ Kto tak pisze, ten być tylko może albo już jest, schyzmatykiem, moskalem, sekciarzem, ale nigdy — przenigdy katolikiem! Kto tak pisze, ten wraz z Katkowem idzie ręką w rękę bić w podwalinę narodowości naszej. Kto tak pisze, ten pierwszy właśnie wyzywa nas, abyśmy w obronie nietylko wiary, ale i interesu polskiego społeczeństwa nasze przed jego pismem ostrzegali. Kto tak pisze, ten Moskwie tylko usługi oddaje!

Na przybycie króla wyprawiono owacę, zakończoną „demonstracją wrzaskliwą, której głównymi sprawcami byli odarci (sic) ulicznicy.“ Wielkie domy, fabryka mozaik Salviatego, nie miały chorągwi żadnej.“ Prawda, że przyczyną tej oziębłości byli księża, których, na wielu balkonach dojrzało właśnie bystre oko naszego pisarza. (Kraj 1. października b. r.) Kiedy zaszliśmy do Włoch, wypada nam wspomnieć o otwarciu tunelu w górze Cenis. Nowoczesna cywilizacja po kilku latach olbrzymiej pracy, dokonała wreszcie dzieła o jakim ani się śniło, idącemu na Rzym Hannibalowi. Dzielnym Kartagińczyk musiał się drapać po szczytach gór. Dzisiejsi hetmani nie będą potrzebowali narażać się już na takie trudy, przez tę jamę wysuną swe wojska na pole Italii, aby na nich rozpuścić mogli zagony swoje. I dla tego genialny p. Rémusat, minister rządu francuzkiego dowodził w Turynie w czasie bankietu, że cywilizacja ogromne odniesie z tąd korzyści. Brat przyrodni pana Jana Dobrzańskiego również narodowego aż do szpiku dziennika (!) (coś w podobnym guście jak *Gaz. Nar.*), toż samo potwierdził dni temu kilka zaledwie w *l'Avenir National*. Atoli *l'Univers* nie chce wierzyć, aby dla rozwoju cywilizacji konieczne potrzebne były ciemne lochy. Już to ta cywilizacja pięknie wydała i wydaje owoce, dla tego właśnie, że ciemnych tylko lochów niektórzy ludzie obawiają się dzisiaj. Oto nowa próbka tej gardlującej cywilizacji. Dzienniki włoskie ogłosiły ustawy Stowarzyszenia zawiązanego pod nazwiskiem Alfieri, którego celem zburzyć wszystkie pomniki chwały i płody geniuszu mężów włoskich, mordować i wypędzać księży, terroryzować poczciwych mieszkańców. Oto co czytamy w ustawie tego Stowarzyszenia.

1. Celem tego towarzystwa jest śledzić bacznie i walczyć ten rodzaj ludzi, którzy żądają dla siebie pomocy u cudzoziemców, aby gwałcić wolność Italii i zbezpieścić ją zupełnie.

2. Każdy, kto pragnie być jego członkiem, powinien się zobowiązać do następujących rzeczy:

- a) Z zasad politycznych powinien być znanym jako gorący zwolennik jedności narodowej. W zasadach religijnych, jako wolnodumca (*libero pensatore*), albo należeć do jakiegokolwiek wyznania w walce z katolicyzmem będącego.
- b) W polityce bronić i popierać najściślejsze przymierze zjednoczonych Włoch z państwem niemieckim. W rzeczach religii wszelkimi środkami dążyć do osłabienia katolicyzmu, a wspomaganie protestanckiej religii.
- c) Szerzyć propagandę, mającą na celu obalenie zupełne papieżstwa, wypędzenie papieża z Rzymu, pozbawienie księży prawa cywilnego.
- d) W przypadku gotującej się z cudzoziemcem wojny, przed formalnym jej jeszcze wypowiedzeniem, członkowie Towarzystwa obowiązują się rozpocząć natychmiast działanie swoje—burzyć i palić kościoły, przedewszystkiem Watykan, pozbyć się lub zmusić do opuszczenia kraju tych księży, których zasady nieprzyjazne są narodowości.



e) Każdy członek obowiązuje się: wnosić do kasy Towarzystwa jeden frank miesięcznie na utrzymanie dzienników; krom tego, w ważnych razach, ilekroć potrzebne będą większe kwoty, wedle możności swojej złożyć nadzwyczajny podatek.

3. Towarzystwo w każdym większym mieście zorganizuje i ustanowi stały komitet z prezydentem na czele.

4. Wszystkie komitety za pośrednictwem swoich prezesów muszą być z sobą połączone.

5. Każdy członek, zanim do Towarzystwa zostanie przyjęty, ma złożyć na własny honor przysięgę, że Towarzystwu posłusznym będzie, jego rozkazy wiernie zawsze wykona — po czem akt przyjęcia do Towarzystwa podpisze, a ten w archiwach zachowanym zostanie. Roma 1871.

W chwili, kiedy sekciarze sposobią się do takiej zagłady katolicyzmu, wierni scieżniają co raz silniej swoje szeregi i skupiają się około głowy Kościoła. W samym Rzymie objawy miłości dla papieża przypominają nam wielkością swoją pierwsze wieki Kościoła. W uniwersytecie rzymskiej na 800 uczniów, 500 młodzieży poprzestalo uczęszczać na prelekye, wykładane przez profesorów po większej części żydów, lub ludzi występujących przeciwko dogmatom wiary. Młodzieży, która dla wiary, dla zasad poświęca karierę swoją, wystawia się na obelgi, należy się cześć głęboka. Dowiodła ona czem są Rzymianie, dodała odwagi młodzieży katolickiej w całej Italii. Gdzie taka młodzież, tam odrodzenie rychło nastąpi. Atoli Ojciec święty, pragnąc aby nauki na tem nie cierpiały i aby dzielna młodzież pozbawioną ich nie była; powołał dawnych profesorów do siebie, i w Watykanie są już urządzone kursa uniwersyteckie. Obchód 20. Września podjęty przez rewolucjonistów zrobił kompletne fiasco, możemy tutaj śmiało powiedzieć z panem Kraszewskim, że jak w Wenecyi w chwili przyjmowania króla, tak i tutaj odarci (sic) tylko ulicznicy wyprawiali radośne manifestacye. Rzymianie prawdziwi, byli tego dnia gromadami w Watykanie. Kiedy się to dzieje w Rzymie, na Wschodzie ruch religijny przybiera zadziwiający rozmiar. Mahometanie, do których dotąd trudnym zdawał się być przystęp ewangelicznej prawdy, nawracają się licznie do wiary katolickiej. Kto wie czy królestwo Boże nie przeniesie się na Wschód jak za czasów Lutra do Ameryki. Schyzmatycy wracają parafiami do jedności z Kościołem rzymskim. To też Ojciec święty mimo tylu, jakich doznaje, przeciwności niezapomina o Wschodzie. Niedawno temu wikaryatowi apostołskiemu w Konstantynopolu, przesłał na potrzeby Kościoła milion franków ze składek świętopietrza, jakie wierni zewsząd ustawicznie Mu nadsyłają. My pod tym względem daleko pozostaliśmy po za innymi narodami, prawda że jesteśmy ubodzy, ale bądź co bądź dałoby się więcej zrobić. Bo lud nasz poczciwy i wiara tkwi w głębi duszy jego. Świeże mieliśmy dowody tej jego wiary w czasie przyjmowania ks. Nuncjusza w Krakowie. Lud cisnął się do Niego, kościoły były przepelnione. W przyszłym numerze umieścimy obszernie o tem sprawozdanie. Wiele bardzo ciekawych i zajmujących szczegółów dowiedzą się tutaj czytelnicy

Przeglądu. We Lwowie dzienniki nasze nie dały o tem żadnej relacji, przyjazd papieżkiego Nuncjusza niewiele ich obchodzi. Nas Tygryswian jeżeli co zaciekawić może, to skandale dziennikarskie. Wyrobieńie tego smaku zawdzięczamy tutejszemu dziennikarstwu. Zresztą mamy sejm a w nim posłów na pamięć... improwizujących... i *quand-même* należących do opozycyi, jak np. p. Leszka Borkowskiego, demokrate czystej krwi, mimo hrabskiej godności i jeszcze jednego pana o wyższym tytule, wreszcie pogromcę sejmu p. Leona Chrzanowskiego.

\* \* \*

Czwartego października obchodzić będziemy uroczystość 25letniego biskupstwa naszego Arcypasterza. Duchowieństwo i wierni sposobią się w wigilią dnia składać Dostojnemu Jubilatowi bogate dary wraz z życzeniami *ad multos annos*. My z naszej strony, niemożemy jak tylko pełni radości prosić Boga, aby w długie jeszcze lata przedłużał nam życie naszego Ojca, dla Którego obok głębokiej a winnej Mu czci i posłuszeństwa, najgłębszą żywymy zawsze w duszy naszej wdzięczność. Niechaj nam wolno będzie wspomnieć tutaj, że nie tylko apostolskie dzieła naszego Najprzewielebniejszego Arcypasterza najpiękniejszą będą zawsze dla niego chwałą, nie tylko gorąca miłość i przywiązanie do Ojca św., ale i samo powstanie dzienników katolickich we Lwowie, zapisze kiedyś ku Jego chwale, historia kościoła naszego w Polsce! *Ad multos annos!* Nasz Najprzywielebniejszy Arcypasterzu! *Ad multos annos!*

\* \* \*

Ostatniemi czasy wyszło parę broszur. Dwie z nich traktują kwestyę ruską. — Pomówimy o nich obszerniej. W księgarni Sayfartha i Czajkowskiego oglądaliśmy fotografie, przedstawiające śmierć księdza arcybiskupa Darboya, OO. Dominikanów i Jezuitów; przerzucaliśmy także nadeszłe z Paryża nowe książki. Pyszne wydanie *La Vie de Pie IX* zwraca na siebie uwagę. Sprawom polskiego Kościoła poświęcił tutaj autor kilka pięknych kart. — W Zakładzie Ossolińskich wystawa darów jakie otrzymała Biblioteka.

## ŚWIĘTOPIETRZE

### PIOTROWI ŻYJĄCEMU W PIUSIE IX, BOŻEMU RYBITWIE

OD JEDNOŚCI Z KTORYM POLSKI PRZYSZŁOŚĆ CAŁA

złożyli na nowo w Redakcyi:

S. Ł. . . . . zhr. 1

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Edward Podolski.

## W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

między innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno-literacko-historyczne).
2. Dziennik Poznański i Ultramontanie polscy. (ciąg dalszy).
3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Krechowieckiego.
5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydylka.
6. Poeci. — Wieszcze. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
8. Bezkrólewie pod Batorym na 2 nieznanach dokumentach osnute X. Polkowski.
9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)  
X. kan. Zygmunt Golian.
10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
12. Postępy Zoologii.
13. Büchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
16. Rzym i Londyn.
17. Studium bibliograficzno-historyczne o wszystkich peryodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym X. Ign. Polkowski.
18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez \*\*.
19. Dante Beatrycja i Wirgiliusz.
20. O architekturze. Przez \*\*.
21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace i szerzone przez nich zasady.
22. Prelekcye historii kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim.
23. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).

# Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca  
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;  
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu” u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatscha; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej 1. 24.

## Od Redakcyi.

Wielu z naszych prenumeratorów żądało od nas zamieszczania w Przeglądzie Lwowskim dwutygodniowego przeglądu politycznego — otóż możemy ich dzisiaj zaawiadomić, że od przyszłego poszytu rubryka ta stale raz na nawsze, będzie zamieszczaną. Redaktorem jej będzie jeden ze znanych w kraju publicystów naszych.

Nalładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego  
wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

P O J C A Ś W. P I U S A I X.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim . . . . .	2 zł. — ct.
na papierze listowym . . . . .	1 „ 50 „
na papierze zwykłym . . . . .	1 „ — „

